

Fordońskie
legendy
i przypowieści

Przybywszy na pogranicze Pomorza, gdzie niejeden inny książę nawet z dużym wojskiem by się zawa-
hał, Bolesław pospieszył naprzód z wybranym rycerstwem, pozostawiając resztę wojska, gdyż powziął
zamiar, by nagłym napadem zająć gród Wyszegrad¹, jako że grodzianie nie spodziewali się tego i nie ubezpie-
czyli się. Gdy zaś przybyli nad rzekę, która wpadając do Wisły oddzielała od nich ów gród leżący w widłach
rzecznych, wtedy jedni zaczęli szybko jeden przez drugiego przepływać rzekę², a drudzy spośród Mazowszan
[mianowicie] przybywali Wisłą łodziami. W ten sposób doszło do tego, że z nieświadomości większe straty
poniesiono w bratobójczej walce, niż wyniosły one w ciągu [następnych] dni ośmiu przy oblężeniu grodu na
skutek działań nieprzyjacielskich. Gdy się wreszcie całe wojsko zebrało wkoło grodu i przygotowano już roz-
maite przyrządy potrzebne do zdobywania miasta, załoga, obawiając się uporczywej zawziętości Bolesława
wobec wrogów, poddała się uzyskawszy gwarancję bezpieczeństwa i w ten sposób uniknęła zemsty Bolesława
i śmierci. Gród ów zajął Bolesław w ciągu ośmiu dni i przez następne osiem dni pozostał w nim, by go umoc-
nić i [na stałe] zatrzymać w swych rękach; a pozostawiwszy tam załogę, ruszył stamtąd i obległ drugi gród³.

Anonim tzw. Gall
Kronika Polska



1 Dziś Wyszogród nad Wisłą.

2 Nad rzeką – mowa o rzece Brda.

3 Tym drugim grodem może być tylko Nakło, skoro Bolesław wybierał się w roku 1113 powetować tam doznane w roku poprzednim niepowodzenia. Roczniki polskie notują w rzeczy samej pod rokiem 1113 zdobycie Nakła.

O pobycie Świętego Wojciecha w Wyszogrodzie

Było to wczesną wiosną roku pańskiego 997. Wodami Wisły, od strony Brdy, płynęły łodzie. Na nich wśród zbrojnych było trzech mnichów, a to niedawno przybyły do Gniezna biskup Wojciech zaprzyjaźniony z cesarzem Ottonem i księciem Polan Chrobrym, brat Wojciecha – Radzym-Gaudenty i najmłodszy kapłan Bogusza-Benedykt. Z woli księcia Bolesława płynęli w towarzystwie trzydziestu wojów z misją do kraju Prusów i Jaćwierzy, do nadmorskiej Pomezanii.

– Ojcze, za zakolem rzeki stoi gród księcia, w nim zatrzymamy się na odpoczynek po trudach podróży – powiedział Benedykt.

Dopłynęli do brzegu. Strzegący przystani wnet rozpoznali wojów towarzyszących nieznanym. Wymieniono znaki i powitania. Przybysze utrudzeni długą podróżą wychodzili na brzeg przystani. Rycerz miejscowej straży spostrzegł, że wojowie wielkim szacunkiem darzą jednego z mnichów, a więc skłonił się i rzekł:

– Komes (urzędnik księcia) rad będzie podejmować tak dostojnych gości, prosimy... Zmęczeni z trudem pokonywali schody prowadzące na wzniesienie, aż dotarli do bramy. Wojciech uśmiechnął się i rzekł do prowadzącego:

– Wysoko tu u was.

– Tak Ojcze, bo ten gród zwie się Wyszogród, duży on i ważny Panie, bo trzyma straż na rzeką i całą doliną. – I dodał. – Widok z jego wieżyc daleki i książę z nas rad. Piękna to ziemia i dostatnia, rzeka pełna ryb, a w borach bardzo dużo barci i spokój w czasie pokoju, ale ile lęku i grozy, gdy u wrót stoją zastępy Mazowszan czy Prusów.

Mówił gościowi, że w Wyszogrodzie wzniesiono też niewielką świątynię. Książę Bolesław przyrzekł komesowi: „Jak będzie świątynia – to kapelana przyślę”.

Wojciech z uwagą słuchał przewodnika, a w pewnym miejscu zwrócił się do Gaudentego:

– Bracie – nasza misja rozpoczęła się już tutaj. Odpocznijmy parę dni w Wyszogrodzie i tu zaczniemy nauczać,



Po krótkim wypoczynku goście zasiedli do wspólnej wieczerzy – Wojciech pobłogosławił jadło. Posilali się w milczeniu, ale po czasie gwar zaczął narastać w izbie. Komes zwrócił się do siedzącego obok, na honorowym miejscu, biskupa Wojciecha:

– Ojcze, ty płyniesz do Pomezanii i kraju Prusów, my tu czekamy na kapłana, który by poświęcił naszą kaplicę i z nami przebywał. Nie wiemy, kiedy to nastąpi. Czy ty Ojcze, nie mógłbyś poświęcić tej świątyni? Byłby to dla nas zaszczyt i ogromna łaska.



Następnego dnia, od samego rana w grodzie rozpoczęto przygotowania do uroczystości. Świątynię ozdobiono. Z boku ustawiono krzyż z ciosanych pali. Wojciech był ubrany w szaty liturgiczne, a za nim stali Radzym i Bogusza. Trójce duchownych towarzyszył komes w odświętnym ubiorze z odznaką władzy grodowej. Nastąpiła chwila, na którą wszyscy czekali. Wola mieszkańców i trud budowniczych zostały poświęcone Bogu na chwałę.



Po Mszy św. biskup Wojciech zwrócił się do zgromadzonych opowiadając o tej, co kochała Jezusa, zmieniła swoje życie i poszła za nim, pod jego krzyż. O tej, której Jezus pierwszy ukazał się po swoim zmartwychwstaniu, a potem ona odeszła na pustkowia modlić się i pokutować. – Tak jak ona – rzekł na koniec biskup – i wasza mała świątynia, zagubiona wśród lasów, nad wodą i bezludziu trwa. Jak na pustyni... Patronką waszego kościoła niechaj będzie św. Magdalena.



Uroczystość dobiegła końca. Biskup Wojciech pozostał w Wyszogrodzie parę dni. Nauczał, sprawował ofiarę Mszy i chrzczył. Potem odpłynął do Pomezanii i Prusów.

Henryk Wilk

Zdobycie Wyszogrodu przez księcia Bolesława Krzywoustego

Książę pomorski Świętopelk nie dotrzymywał ani zobowiązań, ani zawartego układu z Bolesławem Krzywoustym. Przeto – jak pisał Gali Anonim – książę Polski zgromadził swe wojsko i wiarołomnego wroga poskromił – choć niezupełnie – żelaznym biczem.

Przybywszy na pogranicze Pomorza, gdzie niejedynemu innemu książęciu nawet z dużym wojskiem doznawał obawy, pośpieszył Bolesław naprzód z wybranym tylko rycerstwem, całe wojsko pozostawiając na miejscu, i powziął plan, nagłym napadem zająć gród Wyszogród, licząc na to, że grodzianie nie spodziewając się najścia, nie ubezpieczyli się na czas. Gdy zaś przybyto nad rzekę, która łącząc się z Wisłą oddzielała od nich ów gród, położony na jej drugim brzegu w kącie utworzonym przez obie rzeki, wtedy część zaczęła szybko jeden przez drugiego przepływać rzekę wpław, inni zaś spośród Mazowszan przybywali Wisłą łodziami. W tych warunkach zdarzyło się na tej wojnie to, że przez nieznajomość położenia większą tu poniesiono stratę, niż następnie od ataków wroga w ciągu ośmiodniowego oblężenia.

Po zebraniu się w końcu całego wojska koło grodu i przygotowaniu już całego aparatu przeróżnych potrzebnych do zdobywania miasta przyrządów, grodzianie, obawiając się uporczywej wytrwałości przy obleganiu, poddali się, uzyskawszy pewne gwarancje, i tak uniknęli zemsty z rąk Bolesława i śmierci. Gród ów zajął Bolesław w ciągu ośmiu dni, i przez następne osiem dni pozostał w nim, by go umocnić odpowiednio i na stałe zatrzymać w swych rękach. Pozostawiwszy tamże załogę, ruszył na dalszy pochód i otoczył wojskiem drugi gród, rozpoczynając oblężenie.

Po zakończeniu wyprawy Wyszogród wszedł w skład Wielkopolski. W 1252 r. Wyszogród był określany jako miejsce poboru cła.

Opracowane na podstawie
„Kroniki Polskiej” Galla Anonima



Bolesław Krzywousty przygotowuje się do ataku na Wyszogród.
Wzgórze, na którym stanął, nazwano Wzgórzem Krzywoustego.

Spalenie Wyszogrodu

Miedzy zakonem krzyżackim i Polską trwały ustawiczne walki. Szczególnie złe stosunki panowały za czasów Władysława Łokietka, który w 1320 roku połączył poszczególne polskie ziemie i przyjął tytuł ich króla. Jego celem było także zdobycie Pomorza Gdańskiego i dostęp do Morza Bałtyckiego, w czym przeszkadzał zakon krzyżacki. Wojenne komplikacje i utarczki były następstwem wzajemnej wrogości. Król Łokietek pustoszył Prusy, ale Krzyżacy nie pozostawiali mu dłużni. Rymujący kronikarz Mikołaj von Jeroschin, ksiądz i kapelan Wielkiego Mistrza Dytrycha von Altenburga (1335-1341) opisał wierszem zdobycie polskiego zamku w Wyszogrodzie w 1329 roku. Wyszogród (być może znaczy tyle, co Weichselburg – po polsku: zamek nad Wisłą) był położony na lewym, stromym brzegu Wisły, w bezpośredniej bliskości miasteczka Fordon. Na ponad 20 metrów wznoszą się tu jeszcze dziś masywne wały nad lustrem Wisły.

dr Franz Lüdtkke



Mistrz i braci gromada

Radzili i postanowili,
Wyprawić się do kraju Prusów.
(Ów był wyjęty z pogan ręki
Wcześniej staraniem tylko wielkim
Do chrześcijaństwa doszedł wtedy.)
Teraz chcąc chronić go i bronić
A także wiarę w nim rozkrzewić,
Co kwitła tam strzeżona dobrze,
I krwią rycerza niejednego.
Zasiana korzeń zapuściła
A Bóg o czasie owoc dał.
Wrogiem był mu Łokietek, król
Co od początku tu niemałe
Starania czynił, ten chrześcijan kraj
Ręką zuchwałą niepokoić,
I który braciom zakonnym tam
Zagrażał przez wojnę i mord.
Tak więc potem zebrał wojsko
Mistrz także dla silnej obrony
I posłał je na drugą stronę
Wisły w letniej porze
Naprzeciw siłom króla.
A był tam dom, zwań Wyszogród.
Mieszkańcy twierdzy tu u celu,
Zła czyniący wiele,
Występki wielkie daleko nieśli.
Rabowali, chwyтали i bili
Braci zakonnych podrózne gromady,
Które na statkach pływały
W górę i w dół na Wisły falach.
Tak to czynili w swej swawoli
Wcale nie raz, wiele lat.
Doprawdy stali się ciężarem
Dla mężów w Kraju Prusów.
Tak zagnieździli się ci złoczyńcy
I – mając nadzieję na opiekę Łokietka
Ostro się braciom sprzeciwiali,
Nawet gdy dom ich już zagrożony,
Przez wojska Zakonu był otoczony,
I gdy na koniec zamek srogo
Był oblegany i szturmowany
Z pomocą machin oblężniczych.
Przez trzy dni w środku pozostały
Daremne i próżne ich postęпки.
Czwartego dnia zaczęli już
Bracia szturmować twierdzę
Wraz z wałem i wieżami
Wspinali się na stromą górę
Na co tamci, mąż za mężem
Używali swego schronienia i broni

Bronili zdrowia i życia
Tak dobrze, jak każdemu się tylko udawało,
Na koniec w bitwy bieg
Bracia ciskają ognie,
Rąk wiele wprawdzie rusza się
Daremnie! Pożar zbyt wielki jest!
Rycerze i pachołki tracą odwagę,
Broń swą rzucają precz,
Myślą już tylko o ucieczce.
Tak twierdza ta upadła,
Taki był koniec pychy jej!
Teraz kto żyw próbuje ujść,
Temu źle wiedzie się w jego ucieczce:
Witany jest niejedną włócznią
I tak swój żywot traci.
Uratowani z pożaru zostali
Tylko nieliczni, żywcem schwytani;
Tym wiodło się dobrze, mimo lęku i biedy –
A wszyscy inni zmarli tą śmiercią.
A także dom i dobytek jego
Przepadł w żarze pożaru;
Nic nie uratowano, nie ocalono,
Taki to żywiołu rodzaj.
Twierdza spalona jest do cna –
Tak Wyszogród zniszczony jest.
W ten poniedziałek to się stało,
Gdy widziano niesione krzyże
Pozostał tu też pod Wyszogrodem
Martwy Bondorfa brat Henryk;
W Chelmnie zapewne u zakonnic
Można do dziś grób jego oglądać.

Mikołaj von Jeroschin



Kasztelanii Wyszogrodzkiej rapsod żałobny

Wiatr wiślany dostojny pamiętnikarz dziejów
Co tak wiele historii ukrył w wiślanej głębinie
Często przysiadła na wyszogrodzkich wałach
I słucha skargi słowiańskich wojów
O tym jak zniemacka nocą
podpalono gród z każdej strony
Pożoga stapiała kamienie
Łzy ludzkie strumieniem spływały do Wisły
A łzy kobiet mordowanych były jak perły
A łzy dziecięce jak brylanty
One drzemią na dnie rzeki
Ale nikt nie zna dokładnie tego miejsca
Są skarbem nieustannej o grodzie pamięci

Wiatr wiślany na toni wiślanej
Nadal rapsod pisze żałobny
I szumi głośno i wieje szeroko coraz dalej
Dalej i dalej
Światu ogłasza
Zbrodnię o spaleniu kasztelani!
I echo niesie się coraz śmielej
Śmielej i śmielej
Aż po czas kiedy perły żalu się otworzą.

Maksymilian Bart-Kozłowski



Skamieniali sędziowie

Opowieść ta pochodzi z czasów, kiedy na Pomorzu nie rządzili jeszcze książęta, a władzę polityczną i sądową sprawował wiec, czyli zgromadzenie ludzi wolnych. Wówczas to, gdy trzeba było rozpatrzyć jakąś ważną sprawę, cała lokalna społeczność zbierała się w jednym, zawsze tym samym miejscu.

Pewnego razu wiec taki zwołano na polanie pod dębami w Jaruzynie koło Fordonu – w późniejszej kasztelani! wyszogrodzkiej. Zebrani na nim mężczyźni rozprawiali nad zabójstwem wolnego kmiecia Gniewosza. Spośród nich wybrano przewodniczącego i sześciu sędziów. Gdy zgromadzeni zajęli miejsca w kręgu, przewodniczący rzekł:

– Niech tu stanie Dobrobrat oskarżony o morderstwo Gniewosza.

Przed uczestnikami wiecu pojawił się starszy człowiek o skupionym i poważnym obliczu. Ci, co go znali, powątpiewali, by był sprawcą tego czynu, inni zaś oczekiwali niespodzianek w tej sprawie. Jak zwyczaj nakazywał, oskarżony zdjął czapkę i rozwiązał chustkę na szyi. Obie te rzeczy wraz z laską położył z boku. Stał i czekał na bieg wypadków. Przewodniczący powiedział:

– Przed trzema dniami znaleziono nieżyjącego kmiecia Gniewosza. Poszlaki i świadectwo brata zabitego wskazują, że zabójcą jest człowiek stojący przed zgromadzeniem. Dobrobracie, czy przyznajesz się do zabójstwa?

– Nie przyznaję się – odpowiedział. – Ja Gniewosza nie zabiłem.

– Musisz to udowodnić – rzekł jeden z sędziów.

Na polanę wniesiono ciało zabitego. Sędzia odkrył płócienny całun. Oczom zebranych ukazała się biała twarz zmarłego. Na czole miał krwawą ranę. Sędzia rzekł:

– Kto rozpoznaje zmarłego? Kto zadał tę śmiertelną ranę? Wystąpił brat zabitego i potwierdził, że są to zwłoki Gniewosza. Drugi sędzia zwrócił się do Dobrobrata:

– Znałeś Gniewosza?

– To był mój sąsiad.

– Czy prawdą jest, żeście się spierali?

– Czasem bywały między nami drobne kłótnie, ale nigdy bójki.

Sędzia zarządził, aby zeznawał brat zabitego. Ten potwierdził, że między Gniewoszem a Dobrobratem dochodziło do nieporozumień. Mówił, że Dobrobrat nazwał Gniewosza złośnikiem, a w dniu, w którym dokonano zabójstwa, widziano Dobrobrata w zagrodzie Gniewosza. Na koniec świadek powiedział:

– Nie byłem przy śmierci brata. Nie widziałem, kto zadał mu ten śmiertelny cios, ale moim zdaniem, tym człowiekiem jest oskarżony. Przewodniczący zwrócił się do Dobrobrata:

– Co ty na to?

– Nie zaprzeczam, że Gniewosza znałem. Nazwałem go złośnikiem, bo często wybuchał złością z najdrobniejszego powodu. Prosiłem go o wypożyczenie konia i radła, odmówił mi. Ale mówię, ja go nie zabiłem. Uczynił to ktoś inny, ale nie wiem kto.

Przewodniczący uznał przewód za zakończony. Sędziowie zebrali się na naradę. Mieli wspólne zdanie. Ogłoszono wyrok.

– Sąd uznał Dobrobrata winnym śmierci Gniewosza i nałożył na niego karę 50 grzywien. Jeżeli Dobrobrat nie uiści wskazanej kwoty, straci zagrodę i łany.

Twarz Dobrobrata zsiniała, a usta nerwowo zadrgały. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu. Zabrał czapkę, chustkę i laskę i powoli opuścił wiec.

Wtedy stała się rzecz dziwna. Ludzie grupami opuszczali jaruzińską polanę pod dębami, ale przewodniczący, sędziowie, świadek, wciąż trwali na miejscu. W ogóle nie poruszali się. Ludzie byli zaskoczeni i przerażeni. Przewodniczący, sędziowie i świadek skamienieli. Wśród zebranych nikt nie miał wątpliwości, co się stało. Wydano niesprawiedliwy wyrok. Dobrobrat był niewinny.

Skamieniałe postaci już nie powróciły do życia. Osiem głązów na stałe wpisało się w panoramę jaruzińskiej polany. Potem kamienie wykorzystano do budowy warownego grodu w Strzelcach Górnych.

Henryk Wilk

O wysokim grodzie nad nurtami Wisły

Późną jesienią wracał z wojami książę Bolesław Chrobry z wyprawy na Pomorze Niżne. Oddziały z trudem posuwały się wzdłuż brzegów Wisły. Przednia straż pod wieczór dotarła nad rozległą polanę pradoliny, gdzie rzeka tworzy zakole, a „ostre męty” wody potęgują jej nurt. Wysoki brzeg Wisły w pobliżu wyjścia Brdy, zabezpieczał to miejsce. Zarządzono postój. Rozbito obozowisko.

Przed wyruszeniem do Kruszwicy książę rzekł do Boguszy:

– Zbudujemy tu warownię, aby strzegła rubieży księstwa przed nieprzyjaciółmi i miała pieczę nad traktem na Pomorze i rzeką.

Tak się stało. Zbudowano Wyszogród. Władał nim komes. Po latach, w których nie brakowało też chwil słabości, warownia stała się potężnym grodem. Przyjeżdżali do niego liczni kupcy z Kujaw, Wielkopolski i dopiero stamtąd wędrowali dalej na Pomorze i Mazowsze. Warownia rosła w siłę dzięki cłu pobieranemu od handlowców.

Szczególnie ważną rolę spełniał Wyszogród, kiedy za „ostrymi mętami” Wisły (Ostromecko) graniczył z państwem zakonu krzyżackiego. Załoga grodu wówczas mężnie powstrzymywała wypadły i rozboje rycerzy Zakonu Najświętszej Maryi Panny.

Na początku maja 1330 roku Krzyżacy uderzyli na Wyszogród. Walka była zacięta. Dwuosobowa załoga grodu broniła się dzielnie. Nikt z niej nie ocalał. Krzyżacy, mszcząc się za własne straty, zrównali osadę z ziemią. W pobliżu ocalałego kościoła i grodziska powstała wieś zwana Wyszogrodem. Z żalu po stracie grodu, wśród jej mieszkańców powstawały najróżniejsze ludowe podania.

To, które zachowało się do czasów dzisiejszych, traktowało o nieudanej próbie podniesienia Wyszogrodu z popiołów. A brzmiało ono tak:

Pewnego razu chłopiec ze wsi wyszogrodzkiej pasł bydło w pobliżu miejsca, gdzie stał gród. Przyglądał się zachodzącemu słońcu, gdy nagle zobaczył dziewczynę. Zdawało mu się, że coś zbiera w parowie. Podeszedł do pięknej zjawy i powiedział:

– Boże pomagaj.

Dziewczyna odwróciła się do niego. Zaczęli rozmawiać. Wyjaśniła mu wówczas, że jest białka ze zniszczonego Wyszogrodu, córką komesa.

– Ty możesz wybawić mnie i cały gród mój, przywrócić jego istnienie, jeżeli zrobisz, co ci powiem.

– Co mam uczynić? – pytał chłopak.

– Musisz mnie przenieść na plecach przez rzekę Brdę, ale nie wolno ci się ani razu obejrzeć za siebie – dodała dziewczyna.

Chłopiec przystał na prośbę białki. Sądził, że to, co ma zrobić, jest bardzo proste. Wziął dziewczynę na plecy i skierował się ku płytkiej rzece.

Gdy ruszył z miejsca, zaczęły mu się pokazywać różne straszdyła, dziwne zwierzęta i niezwykle ptaki. Chwytały go za spodnie, stawały przed nim i zagrażały drogę. Chłopiec nie zwracał na zjawy żadnej uwagi i spokojnie krok za krokiem szedł do przodu.

Wtedy zauważył, że z ziemi wyłania się gród i powoli sążeń za sążniem, rośnie w górę. Odezwał się dzwon wiszący na grodowej wieży. Nagle straszdyło jakieś zerwało mu z głowy nakrycie, nowe, niedawno kupione przez tatkę na odpuszcie w Fordonie. Było mu żal czapki, więc obejrzał się, by zobaczyć, co się z nią stało. W tej samej chwili dziewczyna wpadła do wody i usłyszał tylko jej pełne żalu słowa:

– O nieszczęście... Znów sto lat będę musiała przebywać pod ziemią. Dziewczyna zniknęła, a gród ponownie zapadł się pod ziemię. Nigdy go potem nie odbudowano.

Henryk Wilk

Książęcy orszak

Zapadał zmrok. Bramy grodu pozamykano, na wieżyczkach rozpalono ogień. Straże objęły służbę. Od strony Świecia, drogą zwaną Książęcą, przyjechało dwóch zbrojnych. Strudzeni podróżą i wyczerpani pośpiechem zatrzymali się przed fosą okalającą warownię wyszogrodzką.

- Hej tam, otwierajcie wrota, a żywo!
- Kim jesteście i skąd przybywacie? – zapytali strażnicy.
- Jesteśmy poselstwem księcia Bolesława zwanego Chrobrym. Chcemy rozmawiać z komesem Arnoldem – odpowiedzieli przybysze.
- Wejdźcie do środka.

Arnold z woli księcia sprawował władzę w kasztelu wyszogrodzkim. Wieść o poselstwie sprawiła, że przybysze od razu trafili przed jego oblicze. Jeden z nich zwrócił się do komesa:

- Panie! Wyprzedziliśmy podążający z Prus do Gniezna orszak ze zwłokami męczennika Wojciecha. Jesteśmy mocno utrudzeni. Musimy odpocząć, wymienić konie i pilno nam wracać na dwór księcia. Prosimy o kwatery.
- Jestem rad z wizyty wysłanników księcia. Przez pamięć na biskupa Wojciecha, który tu gościł, nie mógłbym wam odmówić. Powiedzcie, jak doszło do jego śmierci?
- Wielebny Wojciech – odpowiedział jeden z posłańców – prowadził swoją działalność bardzo krótko. Już po paru dniach został zabity przez pogan. Jedni powiadają, że Prus, któremu Polacy zabili brata, rzucił w niego włócznią. Jeszcze inni, że zamordowali go poganie za to, że wkroczył do świętego gaju ich bóstwa, co uznali za świętokradztwo. Książę Bolesław postanowił odzyskać zwłoki biskupa. Prusowie owinęli ciało w białe płótno i przywieźli je na pogranicze, gdzie już znajdowało się nasze poselstwo. Ale rozmowy nie były łatwe. Ostatecznie strony uzgodniły, że zwłoki zostaną ułożone na wielkiej wadze. Na jednej szali ciało biskupa, na drugiej – skarby Polaków w takiej ilości, aż szale się wyrównają.
- Książę Bolesław bogato wyposażył swoich rycerzy – wtrącił się do rozmowy drugi posłaniec. – Sakwy, jedna po drugiej, kładli na wagę. Były tam denary i rozmaite klejnoty. Po pewnym czasie na twarzach rycerzy księcia pojawiły się oznaki niepokoju. Góra skarbów rosła, a waga nawet nie drgnęła. Nie mieli pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Za to Prusowie cieszyli się z dużego okupu i zakłopotania, jeszcze przed chwilą, tak pewnych siebie Polaków. W końcu zabrakło kosztowności. Rycerze nie wiedzieli co począć, bo nie mogli spełnić warunków postawionych przez Prusów, a zgodnie z poleceniem, nie mieli prawa wracać do księcia Bolesława bez zwłok.

Wtedy posłannicy postanowili poprosić o pomoc polską biedotę, która przypatrywała się całemu wydarzeniu. Zapytali, czy ktoś ma monety, które pomogłyby wykupić ciało świętobliwego męża. Z tłumu wyszła kobieta w podartym okryciu i oświadczyła, że gotowa jest oddać wszystko, co posiada. Podeszła do zwłok, uważnie przypatrując się prześcieradłu, które okrywało ciało męczennika. Wyciągnęła chusteczkę i rozwiązała znajdujący się na niej węzełek. Miała tam dwa grosze. Położyła je drżącą ręką na szali i zadowolona odeszła. Nagle waga drgnęła, jedna szala opadła, a druga z ciałem biskupa wzniosła się.

Pojaśniały twarze Polaków, sposepniały Prusów. Nasi rycerze zaczęli zdejmować z wagi swoje kosztowności. Czynili to tak długo, aż szale się wyrównały. Tak to zwłoki zostały odzyskane. Posłowie zabrali je do osady pod Gdańskiem. Teraz zmierzają już do nas duktem książęcym.

Posłannicy zakończyli relację ze swojej wyprawy. W międzyczasie do sali wszedł dowódca straży grodowej i oznajmił, że orszak dotarł już do grodu. Wieść szybko rozniosła się po okolicy. Rycerze odpoczywali, ksiądz i mieszkańcy grodu sprawowali modły przy zwłokach. Po odpoczynku misja ruszyła w stronę Trzemeszna, a stamtąd do Gniezna.

Pamięć o pobycie św. Wojciecha w Wyszogrodzie przetrwała wieki i jest wciąż żywa. Obrasta nowymi wątkami, jak ten o orszaku ze zwłokami męczennika, który tu przejeżdżał.

Henryk Wilk

O Jakubie i córce kasztelana

Dawno temu na północ od Wyszogrodu, na wzniesieniu w Strzelcach Górnych, stał gród. Po przeciwnej stronie Wisły też był gród. Zwano go Pień. Najkrótsza droga między nimi wiodła przez Wisłę. W rzece znajdował się piaszczysty bród. Płytką wodną ścieżkę wykorzystywano, kiedy rodami władali ludzie ze sobą zaprzyjaźnieni.

Nastaly jednak lata, gdy komesowie w grodach poróżnili się ze sobą. Wtedy zapomniano o brodzie wiodącym przez Wisłę. Na dodatek spory i kłótnie tak się zaostrzyły, że doprowadziły do wzajemnych najazdów. Na początku XIII w. zrodziła się nadzieja na pokój. Wita, białka niezwyklej urody, córka pana na grodzie w Pieniu i Jakub – znany rycerz w kasztelani! wyszogrodzkiej, syn władcy grodu w Strzelcach – pokochali się. Młodzi wiedzieli, że ich rodzice nie zgodzą się na małżeństwo. Miłość jednak była silniejsza od rozsądku. Wita i Jakub spotykali się w tajemnicy. Gdy rodzice zorientowali się, co w trawie piszczy, młodzi musieli znaleźć inny sposób. Pomógł im przypadek.

Pewnego dnia Jakub stanął na tarasie. Z tęsknotą spoglądał na gród swej wybranki. W świetle słońca rycerz zobaczył bielący się pod wodą pas płycizny łączący oba brzegi. Ponieważ okna komnaty Wity znajdowały się po tej samej stronie, co okna komnaty Jakuba, kochankowie umówili się specjalnymi znakami na wieczór. Gdy nie będzie przeszkód w złożeniu wizyty dziewczynie, Wita miała wystawić w oknie płonącą świecę. Światło wskazywało szlak. Młodzi spotykali się w ten sposób przez dłuższy czas.

Matka Wity zaczęła coś podejrzewać. Dziewczyna nie opuszczała bowiem grodu, a nie rozpacziała za ukochanym. Doszła do wniosku, że córka ma kogoś i spotyka się z tym kimś w grodzie. Zaczęła pilnie wypatrywać intruza. Zauważyła, że Wita wystawia wieczorami świecę w oknie.

Matka zaczęła się w zaroślach. Po chwili usłyszała nasilający się plusk wody. Ujrzała jeźdźca na koniu, zmierzającego pewnie do brzegu. Rozpoznała w nim Jakuba, syna największego wroga. Była oburzona. Czekwała jednak na dalsze wydarzenia.

Jakub spotkał się z ukochaną i wrócił do siebie. Matka postanowiła działać. Gdy zobaczyła w oknie świecę i zorientowała się, że ta ma wskazywać Jakubowi drogę, weszła do komnaty córki i zgasła światło.

Tymczasem Jakub był już w połowie drogi. Był zdziwiony, że światło nagle zgasło. Zrozumiał, że Wita ostrzega go przed jakimś niebezpieczeństwem. Zawrócił z drogi. Myślał o tym, co dzieje się z jego ukochaną. W zadumie zboczył z drogi i wpadł do głębokiej wody. Koń poszedł na dno. Jakub po ciemku nie mógł trafić na szlak. Wydał ostatni, rozpaczliwy krzyk. Usłyszała go Wita. Zrozumiała, że jej ukochany zginął w ciemnościach. Po tej tragedii białogłowa zamknęła się w komnacie. Była nieżywa dla żywych. Rodzice zaślepieni nienawiścią stracili swoją jedyną córkę.

Henryk Wilk

Książęcy Błazen

Rzecz działa się w XIII wieku. Książę pomorski Warcisław często przybywał do odziedziczonego po ojcu Wyszogrodu. Podczas jednej z wizyt, na łąkach przed podgrodziem zauważył chłopca radośnie skaczącego i śpiewającego. Wieśniak przepasany był powrozem z dopiero co zabitymi gęśmi. Książę zatrzymał konia i zwrócił się do chłopca:

– Jak cię zowią?

Chłopiec nie przestraszył się obcego, bogato ubranego pana na okazałym rumaku. Spojrzał na niego śmiało i rzekł:

– Zowią mnie Warcik. – A ciebie?

– Ja jestem duży Warcik – odpowiedział książę.

– Tośmy obaj są Warciki – odrzekł chłopiec.

Rozbawiła ich obu ta sytuacja. Gdy książę przestał się śmiać, zwrócił uwagę na powrót z gęśmi, którym przepasany był chłopiec. Zapytał, skąd taka maskarada.

– Bo to było tak – odrzekł mały Warcik. – Matula nakazała mi, abym trzymał gęsi przy sobie. Tak by lis ich nie porwał. Przytroczyłem je do powroza, noszę je i mam na nie baczenie.

– A matula nie będzie zagniewana, że je zabiłeś?

– Proszę pana, teraz jest jesień, to gęsi się bije.

Księżciu Warcisławowi spodobała się ta odpowiedź. Pomyślał, że chłopak jest bystry i byłby z niego niezły żartowniś dworski. Jak postanowił, tak uczynił. Ugodził się z matką i zabrał chłopca na dwór do Gdańska, aby go szkolono w błazeńskiej sztuce.

Warcik przez lata rozweselał księcia, dwór i przybywających nań gości. Bardzo dowcipnie mówił i wciąż płatał figle. Tam, gdzie się pojawiał, wybuchały salwy śmiechu.

Pewnego razu książę zachorował. Nadworny medyk orzekł, że to poważna zapaść. Księcia można było z niej wyleczyć jedynie poprzez strach. Warcik oddany swemu panu, podjął się tego zadania.

Kiedy książę Warcisław przechadzał się po parku dworskim, Warcik niespodziewanie wrzucił go do stawu. Książę zmoczył odzienie, napił się trochę wody i tak jak przypuszczał błazen, najadł się strachu. Choroba minęła.

Niestety, tym wybrykiem żartowniś obraził majestat swojego pana. Z tego powodu zamknięto go w więzieniu i wytoczono proces. Po krótkim dochodzeniu zapadł wyrok. Błazna skazano na karę śmierci. Wyznaczono dzień egzekucji. Warcik był gotowy na śmierć. Nie miał pojęcia, że książę nie chce go zabić oraz, że sfingował egzekucję, by spłatać figla.

W wyznaczonym dniu rano wyprowadzono błazna na podwórze więzienne, na szafot. Odczytano wyrok i kazano uklęknąć. Kat uderzył błazna mieczem z drewna. Warcik nie odniósł żadnej rany, ale padł martwy. Tak przeżywał egzekucję, że serce mu pękło.

Pogrzeb książęcego błazna odbył się z wielką pompą. Na jego grobie postawiono pomnik. Przedstawia on postać pastuszka przepasanego powrozem z gęśmi. Chłopiec miał błazeńską czapkę na głowie i pałkę w dłoni. Na dole wyryto datę śmierci Warcika – 12 marca 1271 roku.

W październiku tegoż roku, książę Warcisław przybył do ulubionego Wyszogrodu. Tam zachorował i wkrótce zmarł.

Henryk Wilk

Na początku był Wordan

Spiących podgrodzian obudziły wojownicze okrzyki i odgłosy bitwy. Płonęły zabudowania warowni wyszogrodzkiej. Strzały zapalające uderzały w domy osady grodowej. Nocni stróże biegali między zabudowaniami krzycząc: „Gore! Gore!” Kupcy ratowali swoje towary, rzemieślnicy wyroby, a rolnicy dobytek. Wołania dorosłych mieszały się z płaczem dzieci i odgłosami wydawanymi przez spłoszone zwierzęta.

Wszyscy kierowali się ku bramie wychodzącej na gościniec. Wiedzieli, że ujdą z życiem i uratują część swojego dobytku, gdy schronią się w pobliskim lesie za wzniesieniami. Za sobą zostawili łunę rozświetlającą niebo i płonące grodziszczce.

Kilka dni przesiedzieli w borze.

Michał Wordan – wokół którego skupili się uchodźcy – polecił Bartłomiejowi – by dobrał ludzi i sprawdził teren warowni. Grupa zwiadowcza miała upewnić się, że Krzyżacy opuścili ziemię wyszogrodzką. Gdy Bartłomiej powrócił, okazało się, że gród został całkiem zniszczony. Ocalała tylko świątynia.

Właśnie przy świątyni pogrzebano wszystkich poległych rycerzy wraz z ich dowódcą oraz samym kasztelanem. W sumie 200 ludzi.

Gdy dopełniono formalności, starsi postanowili opuścić las i przenieść się nieco dalej od zburzonego grodu. Spodobała im się rozległa dolina. Od północy była zamknięta tarasem wysokich wzniesień łagodnie dochodzących do brzegów Wisły. Od zachodu strzegły do niej dostępu bory. W dolinie tej znaleźli ziemię pod uprawę, rzekę pełną ryb, drewno na budowę domów i dobre drogi prowadzące na Pomorze i do Wielkopolski. Tam się osiedlili.

Po paru latach w dolinie powstał prawdziwy gród. Był tam rynek i domy. W centralnym miejscu wyznaczono plac pod budowę kościoła. Poza osadą uprawiano pola. Tuż przy brzegu Wisły zbudowano przystań. To ona dała początek późniejszemu portowi celnemu.

W osadzie było coraz więcej nowych mieszkańców. Ci, którzy się tam urodzili mieli wpisaną do metryki nazwę Wyszogrodu, który od dawna już nie istniał.

Pewnego dnia zebrała się rada złożona z najzaciejszych osadników – potomków Michała Wordana. Przewodniczący zgromadzeniu Fumanowicz powiedział:

– Przez szacunek do nas, mieszkańców osady, i za ich zgodą, winniśmy nadać nowemu grodowi nazwę. Warto by nasza praca i dorobek stały się znane w całej polskiej ziemi. Wymyślmy coś i zwróćmy się do księcia, by uszanował naszą prośbę i wyraził ją w prawie.

Wtedy włączył się do dyskusji pleban wyszogrodzki:

– Przed laty znaczące zasługi dla tej osady świadczył Michał Wordan. Niech wtedy miasto nasze otrzyma nazwę od jego nazwiska.

Wszyscy przystali na tę propozycję.

I tak osadę nazwano Wordanem. Z biegiem lat i upływem wieków nazwa nieco się zmieniła. Był Wordoń, Fordan, aż w końcu Fordon. W 1973 r. miasteczko Fordon wraz z okolicznymi osadami zostało włączone do Bydgoszczy jako jej dzielnica.

Henryk Wilk

Chleb, który przemienił się w kamień

Przy głównej ulicy w Fordonie miał swój warsztat znany w mieście i okolicy mistrz szewski Stanisław. Gdy jego syn Jan wyszkolił się tam na czeladnika, zgodnie z panującym w dawnych czasach zwyczajem, wyruszył w świat. Miał wędrować z miasta do miasta, by doksztalić się w zawodzie i zdobyć życiowe doświadczenie. Jan zaopatrzył się w sakwę na żywność, włożył mocne buty, do ręki wziął kij wędrowny i wyruszył w drogę. Zatrzymywał się w miasteczkach. W napotkanych warsztatach starał się zarobić parę groszy. Potem szedł dalej. Ta włóczęga była dla czeladnika prawdziwą szkołą życia. Lepszą nawet niż przebyta terminatorka u ojca, mistrza szewskiego.

Pewnego dnia Jan dotarł do klasztoru Cystersów w Pelplinie. Zmówił modlitwę w kościele. Potem zapukał do bramy klasztornej. Zakonnik, który mu otworzył, zapytał.

- Kto prosi o posługę?
- To ja, czeladnik szewski Jan z Fordonu.
- A czego ty potrzebujesz?
- Proszę ojca o kawałek chleba na drogę.

Mnich poszedł do kuchni. Zabrał z półki bochenek chleba i przyniósł go Janowi.

Czeladnik schował chleb na piersiach pod sukmaną. Podziękował i ruszył w dalszą drogę do Gdańska. Sądził bowiem, że w tamtejszych warsztatach szewskich dostanie pracę. Liczył na to, że nauczy się robić słynne na całą Polskę buty. To sprawiłoby, że warsztat ojca stałby się jeszcze bardziej znany.

Szedł długo. W końcu zobaczył mury miasta i strzeliste wieże gdańskich kościołów. Nagle zatrzymała go kobieta. Była odziana w łachmany. Miała twarz wychudzoną głodem i zniszczoną troskami. Na rękach trzymała bladego chłopca. Obok niej szło drugie wycieńczone dziecko. Kobieta zwróciła się do Jana:

- Panie, ulituj się nad nami. Od wczoraj nie mieliśmy nic w ustach. Ja wytrzymam, ale moje dzieci umrą z głodu.

Czeladnik miał twarde serce. Nie zamierzał się dzielić podarowanym przez zakonnika bochenkiem chleba. Powiedział do kobiety:

- Nie mam nic do jedzenia.
- Panie widzę przecież, że masz za sukmaną cały bochenek chleba. Jan zarumienił się. Kłamał jednak dalej:
- Za pazuchą mam kamień, a nie chleb. Służy mi on do odpędzania się przed psami, co na drogach napadają na ludzi.

Kobieta nie miała już siły dłużej prosić. Odeszła z płaczem.

Jan zaś dotarł do murów Gdańska. Poczul głód. Usiadł w cieniu drzew. Ręką sięgnął za pazuchę i wyciągnął stamtąd chleb. Był przerażony. Chleb bowiem zamienił się w kamień.

- To kara Boża, za brak litości i współczucia dla kobiety i jej dzieci – wyszeptał.

Młodzieniec pełen żalu i skruchy wrócił do Pelplina. Znowu zapukał do klasztornej bramy. Przyznał się zakonnikom, co uczynił. Pokazał im kamień.

Duchowni przechowywali kamień w klasztorze przez wiele lat. Oglądali go pątnicy. Mnisi opowiadali im historię o Janie z Fordonu. To była prawdziwa lekcja miłosierdzia.

Skruszony Jan wrócił do Fordonu. Objął warsztat po ojcu. Szybko zasłynął w okolicy. Ceniono go za kunszt rzemieślniczy i za dobre serce.

Henryk Wilk

Z różą w herbie

Kiedy osada fordońska wyrosła na okazałe miasteczko, tj. kiedy zagospodarowano całą ziemię doliny nadwiślańskiej, a przy brzegach przystani oczekiwało wiele statków na odprawę celną, w ratuszu miejskim zwołano naradę zacnych mieszkańców grodu. Do zebranych przemówił wójt:

– Mamy tu wszystko, żeby wieść dostatni żywot i dzielić się naszymi dobrami z przybyszami, którzy nas odwiedzają. Warto byłoby również dać wiarę mądrym naszym rządcom, powagę urzędowi i naszym dokumentom. Musimy miastu naszemu sprawić godło.

O radę w tej sprawie poproszono sędziwego Lecha. Jego zdanie wszyscy sobie w osadzie wysoce bowiem cenili. Lech zaczął tak:

– Dawno temu nasz gród wyszogrodzki w drodze do Prusów odwiedził biskup Wojciech. Zaprosił go książę.

Dostojnicy i grodzianie powitali gościa z radością płynącą z głębi serca oraz kwiatami białych polnych róż. Z kwiatów tych słynęła cała okolica. Po trudach podróży biskup Wojciech udał się na spoczynek. Następnego dnia rano poświęcił świątynię i odprawił Mszę Świętą. Po uroczystościach, żegnając się z komesem i grodzianami, duchowny powiedział: „Zachowałem głęboko w sercu wasze przyjęcie. Do białych róż, których u was taki dostatek, dodaję wam różę z mego rodowego znaku. Niech ona stanie się i waszym znakiem: nadziei i miłości. Teraz i zawsze”. Zebrani krzyknęli: – Niech tak będzie. I stali nieruchomo na brzegu, aż łódzie zniknęły za zakrętem rzeki.

Wysłuchawszy Lecha wójt rzekł:

– Dobrą radę dałeś nam Lechu. Tym bardziej, że to nie jedyny powód, dla którego warto w herbie umieścić różę. Pamiętajmy, że to z woli księcia Kazimierza Opolskiego jesteśmy miastem. Jego książęcym znakiem był również ten kwiat. Powinniśmy trwać przy tym pięknym znaku.

– Prawda. Prawda – odrzekli zebrani. I tak już pozostało.

W Toruniu złotnicy wykonali pieczęć miasta z herbem. Dodali oni jednak do kwiatu ozdobę w postaci głowy anioła z rozwiniętymi skrzydłami, podtrzymującymi tarczę. Postać ta miała symbolizować opiekę opatrności nad grodem i jego mieszkańcami oraz chronić przed złymi mocami, które zagrażały miastu. Legenda ta przetrwała wieki. Herb towarzyszył miastu jako niemy świadek jego historii do roku 1972.

Dziś wprawdzie nie ma on już żadnej mocy urzędowej, ale mieszkańcy Fordonu nadal są z niego dumni. Wszelkie zawirowania historii przetrwały również białe, dzikie róże. Nadal można je spotkać w fordońskiej dolinie.

Henryk Wilk



Trzęsacz – diabelskie błoto

Od dawien dawna z Wyszogrodu wiódł główny trakt przez Świecie do Gdańska. Ze szlaku tego korzystali kupcy, pielgrzymi, wojowie i poborcy podatkowi. Zdarzało się, że sam książę z orszakiem podróżował tamtędy. Nic dziwnego zatem, że trakt ten nazywano Książęcym.

Niedaleko od Wyszogrodu stały osady: Jezurzna i Wysoczyzny. W jego parowach była osada Strzelców, co to służebną rolę pełnili wobec grodu. A dalej znajdowały się rozległe pola zwane Włókami. Za nimi trakt wiódł przez łągi i trzęsawiska pełne błota. Cała dolina pokryta była bagnami i mokradłami, na których wyrastały zwarte kępy krzewów olszyny i buku, za nimi była już tylko wysoka trawa i gęste sitowie.

Biada temu, kto w podróż wybrałby się o zmierzchu. Bez przewodnika niechybnie by zabłądził. Tak się zresztą nieraz zdarzyło. Niejeden zastęp śmiałych rycerzy i wóz karawany kupieckiej zboczył z głównej drogi i przepadł bez wieści.

Powiadano w grodzie, że złe duchy na trzęsawiskach urządziły sobie siedzibę. Niepokoiły ludzi figlami i psotami. Zdarzało się, że dla zabawy rzucały trupimi czaszkami, a z piszczeli porobiły sobie piszczalki i gwizdały na nich przeraźliwie. Grały też w kości, a jako stołu używały wielkiego przydrożnego kamienia. Grały tak zawzięcie, że do dziś pozostały tam ślady ich działalności. Okoliczni osadnicy unikali mokradeł. Najczęściej tamtędy przechodził gajowy. Nie mógł się nadziwić temu niezwykle groźnemu krajobrazowi. Po takiej przechadzce mówił ludziom, że nic tam nigdy nie wyrośnie. Twierdził, że to przeklęta ziemia.

Po jakimś czasie zjawił się w tych stronach pustelnik. Mimo przestróg gajowego i okolicznych mieszkańców – pozostał i pod zboczem zbudował sobie pustelnię. Była to z cisów chatka z oknem i drzwiami, ze stołem i krzesłami pośrodku. Pod ścianą pustelnik przygotował sobie legowisko z trzciny i tataraku. Przykrył je zwierzęcymi skórami. Nad wejściem powiesił drewniany krzyż. Ludzie patrzyli na niego z podziwem. Pustelnik uspokajał ich i mówił, że on da sobie radę z duchami.

Gdy się urządził, chodził do osad. Nauczał ludzi i leczył chorych. Służył pomocą wędrowcom i umacniał drążkami błotnisty trakt. Złe duchy denerwowała praca pustelnika. Przeszkadzały mu w rozmaity sposób. Gdy szedł przez las, by doglądnąć Barei, bez przyczyny złamała się gruba gałąź i spadła mu na głowę. Konar omal go nie zabił. Nasyłały mu nocą pod chatkę watahę zgłodniałych wilków. A kiedy przechodził przez bagna ku Wiśle, próbowały wciągnąć go do przepastnego trzęsawiska. Wszystkim ich złym zamiarom towarzyszył nerwowy chichot. Mimo usilnych działań duchów, pustelnik nie poddawał się. W końcu czarty straciły ochotę do zabawy.

Postanowiły go zniszczyć. Przed Bożym Narodzeniem rzuciły się na pustelnię i zaczęły zrywać pokrycie z dachu. Nagle zobaczyły krzyż. Zajaśniał on takim blaskiem, że uciekły. Były jak oszalałe. Nic dziwnego, że dały się wtedy we znaki całej okolicy. Pazurami rozdrapywały sąsiednie wzgórza we Włókach. Pokażne wgłębienia zachowały się tam do czasów dzisiejszych. Potem rozpętały wicher. Pod jej naporem połamały się mniejsze drzewa, a ogromne dęby i topole całe się pokrzywiły. Aż w końcu czarty uciekły z trzęsawisk i bagien. Gdy okolica była już całkiem bezpieczna, książę zezwolił osadnikom osiedlić się na tym terenie.

Dzisiaj, tysiąc lat później, tylko nazwa Trzęsacz nie pozwala zapomnieć o będących tam niegdyś trzęsawiskach. A nazwa Zławieś – to nic innego, jak odniesienie do mieszkających w dawnych czasach na tym terenie złych duchów i do przesądów. We współczesnej Złejwsi mieszkają dobrzy ludzie.

Henryk Wilk

Nicponie

Było to w czasach, w których granice Fordonu stykały się z rozległymi majątnościami doliny nadwiślańskiej. Znajdującym się tam traktem, wiodącym od strony miasta do okazałego dworu, wracał syn właściciela Sulimir. Minęły już trzy lata, odkąd opuścił on dom rodzinny.

Sulimir od najmłodszych lat był chłopcem nieposłusznym i psotnym, utrapieniem dla swojej niani. To ona zresztą pierwsza przezwiała go nicponiem. Przydomek ten przyległ do niego na stałe. Pasował jak ulał, gdy Sulimir trochę podrośł. Wówczas jego ulubionym zajęciem były polowania na zające, sarny i jelenie. Uwielbiał też podróże. Ponad wszystko na świecie młodzieniec ten kochał przyrodę. Wszyscy na dworze mieli nadzieję, że to mu minie i z czasem się ustatkuje. Liczono, że to nastąpi po powrocie z kilkuletniej podróży.

Gdy Sulimir pojawił się na dworze ojca, rzekł:

- Wróciłem. Pragnę teraz wieść życie statecznego ziemianina.
- Sulimirze! Jestem już człowiekiem starym i coraz mniej sprawnym. Kiedy opuściłeś dom, podjąłem decyzję o przekazaniu majątku twemu bratu Dobromirowi. Uznałem, że to będzie sposób na zabezpieczenie rodzinnego majątku – powiedział mu ojciec.
- Dałem ci powody, abyś stracił do mnie zaufanie. Nie mam żalu.

Sulimir pozostał we dworze. Wszyscy zauważyli, że bardzo się zmienił. Pomagał bratu w pracach polowych i w zarządzaniu majątkiem ojca. W wolnym czasie udawał się nad Wisłę. Tam szukał ukojenia tajemniczej tęsknoty, która rozdzierała jego duszę.

Pewnego razu, gdy zastanawiał się nad swoim życiem, ujrzał dziewczynę. Była to Helena, córka Palisza z pobliskiego dworu. Stanęli naprzeciwko siebie. Przyglądali się sobie, ale milczeli. Tylko ich oczy uśmiechały się. W tej właśnie chwili w ich sercach zrodziła się miłość.

Spotykali się coraz częściej. W końcu Sulimir przestał milczeć.

- Kocham cię Heleno. Czy zgodzisz się być moją żoną?
- I ja ciebie kocham.

By mogli być razem, potrzebowali już tylko zgody rodziców. Sulimir bał się rozmowy z ojcem Heleny. Dwukrotnie próbował ją zacząć, lecz za każdym razem rezygnował. Pewnego razu, gdy ojciec Heleny był w dobrym nastroju, młodzieniec odważył się:

- Panie, pragnę poślubić Helenę. Proszę o twoją zgodę.

Gospodarza zaskoczyło to wyznanie. Na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie. Potem głęboko się zamyślił. W końcu rzekł:

- Słyszałem jakiś czas temu, że waćpan nieposłusznym synem byłeś i lekceważyłeś rady swojego ojca. Mówiono, żeś pan wielkim nicponiem. Helena moja jest mi droga ponad wszystko na świecie. Mam więc waćpanie pewne obawy, czy będziesz statecznym i zatroskanym o jej los mężem.
- Helena jest mi droższa ponad wszystko w życiu i pragnę jej służyć pracą i radą.

Ojciec Heleny wyraził zgodę na ślub. Przekazał młodemu część ziemi graniczącej z miastem Fordon i majątnościami miedzyńskimi z jednej strony a brzegami zatoki Wisły z drugiej. Ci wzniesli tam dworek.

Nieraz w okresie roztopów zimowych wody Wisły wzbierały. Występowały z brzegów, tworząc rozległe rozlewisko. Zatapiały łąki i kępy nadwiślańskich krzewów. Tylko dworek został nietknięty. Mimo trudności, jakie stwarzała matka natura, majątek rozwijał się. Pracowitość jego właścicieli budziła podziw mieszkańców z okolicy. Mimo to nazywano majątek Nicponie. Nazwa przetrwała do dzisiaj.

Henryk Wilk

Czarnówko

Na drodze ze Świecia do Zamczyska obok Fordonu mówiono z lękiem i obawą. Biegła ona pod wzgórzami doliny nadwiślańskiej wśród ciemnych lasów. Była pełna zakrętów. Przed samym Zamczyskiem znajdowała się osada. Dostępu do niej strzegły mokradła i bagna. Ten, kto zapędził się w owe strony bez przewodnika, z reguły znikał bez śladu. Swoją żywot zakończył niejeden kupiec zmierzający z towarem na podgrodzie w Wyszogrodzie. W okolicy mówiło się, że właśnie w tamtych parowach został ukryty skarb. Strzec miał go sam czart.

Pewnego razu Franek, syn fordońskiego rękodzielnika, chłopak bardzo odważny, wybrał się w drogę do Zamczyska. Niechybnie by pobłądził, gdyby na szlaku w pobliżu osady nie spotkał dziewczyny. Jej ojciec – Bartłomiej – był przewodnikiem. Po drodze do wsi Wanda opowiedziała Frankowi pewną historię.

Przed wiekiem córka pana na Zamczysku została uwięziona przez złe moce w górze. Po pewnym czasie obok góry przejeżdżał podróżny. Zabłądził i szukał drogi. Wtedy zaklęta panna przemówiła:

- Pomogę ci odnaleźć szlak – jeżeli ty mi pomożesz – rzekła.
- Co mam uczynić? – zapytał młodzieniec.
- Aby klątwa przestała działać, musisz zbudować trzy kaplice w okolicznych wsiach.
- Kiedy ja nawet belki nie potrafię ociosać – bronił się przed wyzwaniem wędrowiec.
- To nic – odparła dziewczyna. – Dam ci czarodziejski topór. Jak weźmiesz go do ręki, to wszystko, co pomyślisz szlachetnego, zrobi się. Bardzo cię proszę wybaw mnie z niedoli.

Zgodził się. Dostał topór. Wyglądał on jak typowe narzędzie używane do robót ciesielskich. Bardzo się świecił. Wyglądał jak ze srebra.

Wędrowiec odnalazł drogę do domu. Gdy tam dotarł, zaraz wziął się do pracy. Pochodził z Jaruzyna, więc rąbał drzewo w pobliskim lesie. Gdy chłopci się dowiedzieli, po co Franek to robi, zaczęli mu pomagać. Woły ciągnęły drewno na miejsce, w którym miała stanąć kaplica. Tam wędrowiec drewno obrabiał. Praca szła bardzo sprawnie. Kaplica została wybudowana. Można w niej było odprawiać nabożeństwa.

Wtedy pojawiła się panna z góry. Kazała mu rzekę płynącą przyszlaku wydobyć spoczywającą tam dzwon i zamontować je w kaplicy. Tak zrobił.

Ponieważ budowa poszła gładko, Franek ochoczo wziął się za budowę następnej świątyni. Tym razem w Chelszczące (dzisiejszej Chelczoncy). Miał już wprawę. Postawił kaplicę jeszcze szybciej niż poprzednią. Kiedy przygotowywał się do budowy ostatniej świątyni, zaczął wątpić w swoje działania. Myślał: Co mi przyjdzie z budowy kaplic. Jak byłem biedny, tak jestem. Trzeba postawić coś, co przyniesie pieniądze. Na przykład karczmę. Poszukał drewna i zabrał się do roboty. Okazało się jednak, że jego czarodziejski topór stracił swoją moc. Franek robił co mógł, aż w końcu zranił się w nogę. Po tym zdarzeniu zaprzestał budowy karczmy. Rzekł sam do siebie:

- Widocznie mój topór jest rzeczywiście przeznaczony jedynie do rzeczy szlachetnych.

Nie widział jednak potrzeby stawiania trzeciej kaplicy. Nie dotrzymał słowa danego uwięzionej w górze pannie. A szkoda, bo od spełnienia obietnicy zależało też bezpieczeństwo podróżnych na szlaku. Gdyby klątwa została ściągnięta z dziewczyny, złe duchy utraciłyby swoją moc. Tak się jednak nie stało. Panem na drodze pozostał czart. Osadę, znajdującą się w pobliżu nazwano Czartówko, a później Czarnówko.

Dzisiaj na terenach doliny nadwiślańskiej jest nowy Fordon z czterema kościołami, które mają zatrzeć pamięć o złej przeszłości. Przy drodze z Przylesia do Myślecinka zachowały się zabudowania dawnego Czarnówka.

Henryk Wilk

O Zofii i Marii z Miedzynia

Granice miasta Fordon od wieków stykały się z okazałym majątkiem zwanym Miedzyniem, którego ziemie rozciągały się od wzgórz Czarnówka aż do Jaruzyna. Mieszkali tam najznamienitsi gospodarze w okolicy. Zarządzali okazałym dworem, w którym nie brakowało pięknych rzeczy, srebra i złota. Majątek ów był doskonale zaopatrzony we wszystko, co było niezbędne do prowadzenia szczęśliwego i dostatniego życia.

Właściciele majątku Miedzyn mieli tylko jeden problem. Przez lata nie mogli doczekać się dziedzica. W końcu na świat przyszły dwie córki. Ochrzczono je w kościele św. Mikołaja. Dziewczynkom nadano imiona: Zofia i Maria.

Dziewczęta miały szczęśliwe dzieciństwo. Odebrały staranne wychowanie i zostały przygotowane do samodzielnego życia. Zofia myślała, by poświęcić się Bogu. Maria z pasją oddawała się jeździe konnej i polowaniom.

Pewnego dnia sędziwy ojciec wezwał córki na rozmowę:

– Jestem już stary. Coraz trudniej mi zarządzać majątkiem. Uznałem, że nadszedł czas byście wy zajęły się naszymi dobrami. Żeby było sprawiedliwe, każda z was dostanie swoją część. Marii przypadną ziemie (wzgórza, pola, lasy) po gościniec do Strzelc i dęby jaruzińskie. Zaś Zofia otrzyma ziemie od granic miasta wzdłuż gościńca do Strzelc i lasy osielskie.

Nie minął rok, jak stary dziedzic osierocił panny. Dziewczęta zaczęły dorosłe życie.

Zofia z dużym zapalem poświęciła się majątkowi. Nauczyła wieśniaków użyźniać ziemię, uprawiać zboże na mniej urodzajnych glebach. Wprowadziła bartnictwo. Do hodowli wykorzystwała parowy wzgórz. Wszystkim mieszkańcom okolicy pozwalała korzystać z leśnych dobrodziejstw.

Chłopi w dobrach Zofii stawali się coraz bardziej zamożni. Szybko utworzyli osadę o zwartej zabudowie. W hołdzie dziedzicze nazwano ją Zofinem.

Maria miała inną wizję świata. Oddawała się polowaniom. W towarzystwie służby robiła wypad w okoliczne lasy. Ludzie dziwili się, że kobieta oddaje się męskim pasjom, jeździ konno, trenuje sokoła, otacza się zawsze zgrają zjadliwie szczekających psów, poluje na szaraki, sarny, nie boi się iść na dzika czy tura. W tamtych czasach było to raczej zjawisko niezwykle, wręcz gorszące i uwłaczające godności kobiety. A ta rządziła przecież mieszkającymi w okolicy wieśniakami.

Pewnego dnia Maria wracała z kilkoma osobami z polowania. Zatrzymała się i chciała pokazać swoim towarzyszom, jak strzela. Oczy jej zatrzymały się na figurze przydrożnego świątka. Powiedziała:

– Uważajcie. Strzelę w sam środek piersi tej figury.

Napięła łuk i puściła strzałę. Tak jak zapowiadała, trafiła w środek figury. Była dumna ze swojego czynu. Chełpiła się sukcesem. Zebrani patrzyli zatrwożeni. Nikt jednak nie śmiał powiedzieć dziedzicze, że nie godzi się strzelać do świątków. Najbardziej jednak oburzyli się wieśniacy, którzy znaleźli strzałę w figurze. Na głowę Marii posypały się gromy. Wówczas nazwano ją Dziką Marią. Pod figurą wieśniacy odprawili modlitwę. Gdy wyciągali z figury strzałę, z rany zaczęła płynąć krew.

Potem Maria umarła. Miejscowości, którymi zarządzała, nazwano Mariampolem. Ludzie powiadają, że duch dzikiej dziedziczki przez wiele lat hulał po jaruzińskich lasach i parowach.

Dziś, jak wiadomo, ziemie miedzyńskie – były wioski Zofin i Mariampol – to nowe dzielnice Fordonu.

Henryk Wilk

Panny z Wisły

Od niepamiętnych czasów najstarsi rybacy opowiadali, że w Wiśle żyją niezwykle panny wodne, których tylko górna część ciała ma wygląd kobiety. Są to istoty piękne. Ich długie, do piersi rozpuszczone włosy i smukłe ręce – czyniły je niejednokrotnie przedmiotem zachwyty. Poniżej piersi ich ciało miało kształt ryby i zakończone było ogonem.

Jak mówiono, panny wiślane pojawiały się niespodziewanie pojedynczo lub gromadnie. Przy pięknej słonecznej pogodzie, gdy słońce świeciło, wychodziły na brzeg Wisły, kładły się na rozgrzanym piasku i rozczesywały włosy. Często przyglądały się pracy rybaków.

Sędziwi rybacy opowiadali, iż były przypadki, gdy panny wywracały łodzie na środku rzeki i wciągały mężczyzn w śmiertelną toń. Dawno temu, Marcin, pochodzący z dziada pradziada z rodu rybackiego, osiadłego od wieków w Fordonie przy ul. Rybaki, wybrał się samotnie na połów. Wiosłował w dół rzeki pod Ostromecko, gdzie znał łowisko pełne ryb. Wiosłował spokojnie, aż nagle ku swemu zdumieniu ujrzał z prawej burty głowę kobiety – z bujnymi, rozpuszczonymi, ciemnymi włosami i zielono błyszczącymi oczami. Ponieważ był już wczesny poranek, a nad wodą unosiły się mgły, myślał, że to zjawy. Przetarł oczy i spojrzał drugi raz. Nie miał już wątpliwości, że przy jego łodzi płynie panna wodna. Pomyślał: To prawda – co opowiadał dziadek. – Panny istnieją i pływają w Wiśle. Z przejęcia serce zaczęło bić mu szybciej. Zapatrzonej w piękną postać kobiety nieśmiało zapytał.

– Kim jesteś?

Panna nie odpowiedziała. Płynęła przy łodzi wpatrzona w młodego rybaka. Po pewnym czasie Marcin znowu zagadnął:

– Dokąd płyniesz?

– Do morza – odpowiedziała tym razem.

– A gdzie ty mieszkasz?

– W morzu.

Tak zaczęła się ta niecodzienna znajomość między młodym rybakiem – Marcinem z Fordonu a panną z Wisły. Zauroczony mężczyzna zdawał sobie sprawę z tego, że człowiek nie może żyć w głębinach morskich. Jednak im bardziej jej się przyglądał, tym silniejsze odczuwał pragnienie, aby być z nią. Chciał wciągnąć pannę do łodzi i zawieźć do domu. Zaczął snuć plany na wspólne życie. A ona świadoma stanu jego duszy swym zachowaniem pobudzała jeszcze tęsknotę. Podpłynęła do łodzi i rękami chwyciła za burtę.

– Jesteś zmęczona? – zapytał. Skinęła głową.

– Wejdź do łodzi. Odpoczniesz.

Pomógł jej usadowić się w łodzi. Nie było to łatwe, ale w końcu panna usadowiła się na ławce przed rybakiem. Oboje patrzyli na siebie zauroczeni z jeszcze większym podziwem niż przedtem.

Marcin i panna wodna spędzili godzinę na pogawędce. Rybak zapomniał o łowisku i rybach. Przestał wiosłować. Ułożył starannie wiosła na dnie łodzi i pozwolił jej płynąć z prądem rzeki i powiewem wiatru. Tak zastał ich wieczór.

Gdy wyznawali sobie miłość – Marcin cichym i wzruszonym głosem zapytał:

– Czy mogłabyś przyjść do mojego domu i zamieszkać w nim?

– To niemożliwe – odrzekła. – Nie umiem chodzić. Potrafię tylko pływać. Muszę żyć w wodzie, poza nią umrę.

– ...Tak... Cóż więc nas czeka? – zastanawiał się zrozpaczony Marcin. Po chwili panna z Wisły – wyszeptała:

– Jeżeli ja nie mogę przyjść do ciebie, to ty przyjdź do mnie. Pozostaniemy razem na całe życie – kochany.

I nim się zorientował, panna wodna trzymając go w ramionach, zabrała go w głąb rzeki.

Na wodzie została tylko pusta, kołysząca się łódź Marcina. Prowadzona nocną falą – dotarła do brzegu. Następnego dnia ludzie z całego Fordonu dziwili się, że w łodzi znajdowały się wiosła, a nie było rybaka. Daremnie pytali jeden drugiego, gdzie podział się Marcin. Wiedzieli, że stało się z nim coś złego. Wszyscy go żalowali. Był dobrym i uczynnym człowiekiem. Niestety, rzeka strzegła swojej tajemnicy. Jedynie sędziwy szypier i dziadek rybaka znali prawdę.

– A ja wam mówię, że panna wciągnęła go w głębinę. Stał się jedną z ofiar, których panny żądają od nas co pewien czas – powiedział. Najbardziej żalowała Marcina Paulina z Rybaków.

Henryk Wilk

Łysa góra nad Wisłą

Legenda ta pochodzi z czasów, kiedy w Dolinie Wisły pojawili się osadnicy, aby założyć miasto zwane Fordonem. Już wówczas na północny zachód od doliny wznosiły się wzgórza. Najokazalsze wśród nich zwano Górą Czarną i Łysą.

Z czasem przybywało domów. Pojawiły się ulice i place targowe, jatki i drogi, którymi przybywali kupcy. Przez Wisłę wybudowano przeprawę, a do przystani portowej dobijały statki rzeczne.

W tym samym czasie nad pobliskie wzniesienia przybyły nie wiadomo skąd czarownice. Ich przełożona – ze zdaniem której pozostałe liczyły się z uwagi na jej doświadczenie i długi staż w zawodzie – wybrała Łysą Górę na siedzibę i organizowanie sabatów.

Bardziej okazała Góra Czarna była zarezerwowana dla miejscowego diabełka Węgliszka. Przybywał on w te okolice na inspekcje.

Czarownice szybko zadomowiły się na wzgórzu, odrazu odczuli ten fakt mieszkańcy Fordonu i okolicznych wsi. Czarowały, ile się dało. To przepędziły wszystkie ryby w Wiśle, to sprowadziły pomór na okoliczne bydło. Za ich sprawą częściej aniżeli dotąd wybuchały pożary w mieście, a studnie były puste.

Mieszkańcy Fordonu dzielnie znosili przeciwności losu i sprowadzane przez czarownice nieszczęścia. Mijały lata, a nawet cały wiek pracy wiedźm, a gród jak stał tak stał. Wówczas to zły Węgliszek nakazał czarownicom skierować całą nieczystą moc na słabości ludzkie (próżność, zazdrość, zawiść). Uważał, że tylko one mogłyby poróżnić osadników. Diabeł miał rację.

W XVI i XVII w. w miasteczku przeprowadzono ponad 70 procesów o czary. Ci, którzy stawali przed sądami, byli oskarżani o sprzyjanie Węgliszкови i organizowanie sabatów na Łysej Górze. Sądono przede wszystkim kobiety z Niemcza, Jastrzębia i Żołędowa.

Z tej ostatniej miejscowości pochodziła właśnie młoda dziewczyna o imieniu Helena. Miała proces. Uznano ją za winną i skazano na stos. Mimo to wśród płomieni świadczyła ona na stosie za Bogiem. Mówiła: – Jestem niewinna. Uwierzcie. Jestem niewinna...

Gdy ogień zgasł – na miejscu stosu na skraju miasta wyrosło coś niepodobnego ani do krzewu, ani do drzewa. Miało przepiękne białe kwiaty i zielone błyszczące liście. Nie powiększało się, ani nie zmniejszało. Przez wieki przypominało pokoleniom o tym zdarzeniu.

A śmierć na stosie młodej Heleny zapadła głęboko w sercach i umysłach ówczesnych mieszkańców okolicznych wsi. Tak dalece odmieniło ich postępowanie, że tłumnie wdarli się na Łysą Górę i bez trudu wyłapali wszystkie wiedźmy. Potem zmusili je do opuszczenia tego miejsca. Te widząc niebezpieczeństwo i desperację ludzi wsiadły na miotły i opuściły Łysą Górę.

Odtąd mieszkańcy Fordonu i okolicy byli wolni. Żyli w zgodzie z sumieniem. Zaczęło im się coraz lepiej powodzić.

Dzisiaj nikt nie pamięta już o tamtych wydarzeniach. Na Czarnej Górze jest emblemat przypominający o istnieniu fordońskiej szkoły szybowcowej. Łysa Góra o łagodnych zboczach była dla kandydatów na pilotów początkiem pierwszych lotów ślizgowych nad Doliną Wisły i miasteczkiem.

Henryk Wilk

Grobla na Wiśle

W jesienno-dziennego dnia 1609 roku Wisłę płynął wraz z ludźmi szlachcic Szymon Broda. Minęli Solec Kujawski i zbliżali się do zakola rzeki. Faktor kierujący spływem ponaglał szyprów, aby zdążyli dopłynąć przed zmierzchem do komory celnej w Fordonie. Statki wyładowane zbożem, solą, masłem, tłuszczami, słoniną i mięsem, z trudem pokonywały nurt rzeki. W końcu zbliżyli się do zakola, tuż przy wyjściu Brdy. To było najbardziej niebezpieczne miejsce dla żeglarzy.

Doświadczony sternik starał się osłonić statek przed dużą falą. Uderzenie bokiem groziło jego przewróceniem. Ładunek rzucał się po całej łodzi. W tej samej chwili przewrócił się będący za statkiem dubas (staropolski statek rzeczny, wiosłowo-żaglowy, używany w XVI-XVIII wieku do przewozu towarów – przyp. red.). Część ładunku i dwóch flisaków wyładowało w wodzie. Ludzi uratowano. Uszkodzoną łódź postanowiono naprawić w czasie postoju.

Od Wyszogrodu, który minęli, wzdłuż lewego brzegu ogniska sygnalizowały, że zbliżają się do komory celnej w Fordonie. Przy nabrzeżu zobaczyli m.in. zacumowane: szkuty i dubasy. W oddali były place składowe z towarami, magazyny, spichrze i budynki celne. Na nabrzeżu pracowali urzędnicy.

Szymon Broda oczekując na odprawę zebrał swoją załogę i powiedział:

– Na zakolu Wisły pod Wyszogrodem mogło nas spotkać duże nieszczęście. W tym miejscu utonęło już wiele statków rzecznych. Udało się Kubie i Michałowi ująć z życiem, a towary, które straciłem, niech będą ofiarą dla diabła.

– Cemu tak mówicie panie Szymonie – pytał Michał.

– Bo jest to miejsce szczególne, o którym zawsze mówię płynąc do Gdańska

– odparł tamten. I zaczął opowiadać.

– Przed wiekami, kiedy nad doliną i Wisłę trzymał straż kasztelan Wyszogrodu, a po drugiej stronie rzeki byli

Krzyżacy, załoga powstrzymywała częste ich najazdy. Jeden z komturów chełmińskich za wszelką cenę chciał zniszczyć osadę. Ponieważ nie mógł pokonać jej żołnierzy, zaprzedał duszę diabłu. Szatan zobowiązał się do wzniesienia przez Wisłę grobli z kamieni, aż po sam gród, po której Krzyżacy mogliby podejść i zdobyć Wyszogród.

Nawet dla diabła było to przedsięwzięcie trudne. Od rana znosił kamienie, a potem wrzucał je do rzeki. Co zbudował jednego dnia, następnego znikało pod wodą. Jednak niezmordowanie, zgrzytając zębami, znosił coraz to większe głazy, by dokończyć to, co zaczął. Zatomowana przez głazy woda stanęła na chwilę. Potem zaczęła się spiętrzać. Aż w końcu fala zniszczyła budowlę. Diabeł nie wrócił już do odbudowy grobli. Niestety, od tamtej pory kamienie znajdujące się na dnie Wisły stanowią dla żeglarzy duże niebezpieczeństwo – skończył swoją opowieść Szymon.

Załoga udała się na spoczynek. A wójt Fordonu po tej opowieści nakazał rybakom wydobyć głazy z rzeki. Kamienie wykorzystano do budowy murowanych budynków komory celnej. Tkwią tam do dzisiaj.

Henryk Wilk

Szwedzkie szańce

W roku 1655 do fordoniaków dochodziły z różnych stron wieści o rychłym niebezpieczeństwie wojny ze Szwedem.

W ratuszu miejskim księdza Szymona Judyckiego, osobę powszechnie szanowaną, powitał burmistrz Michał Szykowski i rzekł:

– Co sprowadza księdza prałata do nas?

– Cała Krajna poddała się Szwedowi i tylko patrzeć jak obce wojska zajmą Bydgoszcz. Potem dotrą do nas.

Zniszczą miasteczko. Przywloką zarazę, a i świątynia nasza z takim trudem wybudowana nie będzie bezpieczna, wszak Szwedzi występują w obronie protestanckiego innowierstwa. Któż nas przed nimi obroni? – pytał proboszcz.

– Księżę prałacie – odrzekł ze spokojem burmistrz. – Naradzaliśmy się już z waćpanami: Czerskim – kasztelanem chełmińskim i chorążym Janem Bąkowskim, którzy szukali dogodnego miejsca przy ujściu Brdy do przeprawy przez Wisłę (przy Wyszogrodzie) i na obóz zbrojny dla pospolitego ruszenia chełmińskiego. To będzie nasz opór przed wkroczeniem Szwedów na ziemię chełmińską. Mam zapewnienie, że okoliczna szlachta i mieszczenie nas wesprą.

– Wszystko w rękach opatrności – westchnął proboszcz Judycki.

16 września 1655 r. patrole przednie pospolitego ruszenia wypatrzyły zbliżających się od Jasińca rajtarów szwedzkich. Pod Wyszogrodem rozgorzała bitwa. Jedna i druga strona zacięcie broniła swoich pozycji. Część polskich zbrojnych poległa, część przeprawiła się przez rzekę.

Po przegranej, w Fordonie pozostała załoga szwedzka. Jej członkowie zbierali bydło i drób, łupili sklepy i okradali okoliczne majątki i wsie. Zniszczyli świątynię. Kasa miejska pustoszała, a płacone przez mieszczan podatki przeznaczano na potrzeby Szweda. Miasteczko biedniało i wyludniało się. Wokół świątyni przybywało mogił. Ludzie buntowali się przeciw najeźdźcy na różne sposoby.

Urzędnicy celni – odstępowali od pobierania opłat od mieszczan i kupców polskich za przewóz zboża, drewna i innych wyrobów. Nikt nie przeciwdziałał temu, by statki Szwedów z żywnością i bronią dla armii nie osiadały na mieliznach i nie docierały do odbiorców. W dziwny sposób znikwały transporty z łupami dzieł kultury i sztuki.

Kiedy przed Wielkanocą ks. prałat powrócił z posiedzenia kapituły w Gnieźnie, odwiedził burmistrza, by mu przekazać wieści.

– W Wielkopolsce i na Kujawach głośno już o walkach oddziałów Stefana Czarnieckiego ze Szwedami.

Przyszedł kwiecień. Jazda przyszłego hetmana wsparta mieszczanami bydgoskimi zmusiła załogę szwedzką do schronienia się w zamku. Nadzieja na odzyskanie wolności była już bardzo blisko. Na przeszkodzie stały jedynie stacjonujące w Fordonie oddziały rajtarów szwedzkich. Trudno było z nimi walczyć, bo kryli się za naturalnymi wzmocnieniami ujścia Brdy i dawnego Wyszogrodu. Kontrolując przeprawy przez Wisłę i Brdę utrudniali Polakom komunikację rzeczną do Gdańska.

Atak Czarnieckiego na obóz szwedzki nastąpił 23 kwietnia. Nie przyniósł on jednak żadnego rezultatu. Kiedy Szwedzi wzmocnili swoje pozycje, a oddziały Czarnieckiego uderzyły na Nakło – dowódca rajtarów wezwał do obozu burmistrza Szykowskiego i rzekł:

– Spalimy miasto i osądzimy tych, którzy odważą się udzielić pomocy żołnierzom Czarnieckiego.

Jazda hetmana ponownie uderzyła 25 maja na obóz Szwedów wypierając ich z szańców. Po tej bitwie pokonani poważnie zniszczyli miasto, browar, świątynię i komorę celną. Taka była cena wolności.

Nastał czas odbudowy Fordonu. Z inicjatywy ks. prałata – uruchomiono kopalnię gliny i cegielnię. Życie toczyło się dalej.

Mieszkańcy Fordonu nie zapomnieli jednak nigdy o okupacji Szwedów. Do dziś przetrwała nazwa szańców – czyli szwedzkich okopów, powstałych w miejscu dawnych umocnień Wyszogrodu.

Henryk Wilk

Zakazana miłość

 Czasy wojen szwedzkich długo przetrwały w pamięci mieszczan Fordonu. Okupacja obecnych wojsk szwedzkich, które rekwirowały żywność i dorobek życia, wywoływała nienawiść i pogardę. Bywały jednak i wydarzenia odmienne, bo uczucia ludzi potrafią zrodzić się wszędzie i zakwitnąć szczerą miłością w każdym czasie.

W początkach 1656 roku król Karol IX obozował z wojskiem w Fordonie i założył obóz na przedpolu wyszogrodzkim. Zdarzyło się, że mieszkanka miasteczka o imieniu Anna zakochała się w oficerze szwedzkim. Uczucie było odwzajemnione. Mieszkańcy Fordonu wrogo odnosili się jednak do okupantów, więc młodzi musieli skrywać swe uczucia. Cierpiała z tego powodu Anna, która nie miała żadnych tajemnic przed matką. Wiedziała jednak dobrze, że tym razem nie spotkałaby się z jej zrozumieniem. Ze strony ojca, poważnego kupca fordońskiego i rajcy miejskiego, mimo że była jego ukochaną córką, mogła spodziewać się tylko surowej kary za to, że spotyka się z wrogiem.

Młodych nie zrażały jednak przeszkody, bo wierzyli, że prawdziwa miłość przełamie wszystko. Anna i Szwed postanowili potajemnie spotykać się przy źródelku na wzniesieniu grodowym. Pewnego popołudnia, kiedy spoglądali ze wzniesienia na wstęgę Wisły, Szwed oświadczył się Annie. Wyznał jej miłość i pragnął zabrać, jako żonę, do swego kraju. Anna z radością przyjęła oświadczyni. Zastanawiali się wspólnie jak zrealizować te zamiary. Znali trudności jakie przed nimi stoją. Dlatego Anna powiedziała z żalem:

- Mój ojciec nigdy nie wyrazi zgody bym poślubiła Szweda.
- To ja ciebie zabiorę do Szwecji bez zgody rodziców – odparł oficer.

Anna wahała się jeszcze, czy udać się do obcego kraju. Żal jej było rozstać się z rodzinnym miasteczkiem, krajem i pozostawić rodziców. Westchnęła ciężko i zadumała się. Ukochany ponowił prośbę i przekonywał, że jedyną drogą do szczęścia jest wyjazd do Szwecji. Anna nigdy nie opuszczała Fordonu, była przyzwyczajona do bezwzględного posłuszeństwa wobec rodziców. Bała się plotek, wyzisk i przekleństw, które dotkną ją, a po wyjeździe, rodziców. Nie widząc jednak innego wyjścia – wyraziła zgodę. Młodzi zaczęli przygotowania do dalekiej podróży. Ustalili dzień i godzinę, w której mieli odpłynąć statkiem rzecznym.

Ojciec Anny obserwował zmiany, jakie od pewnego czasu zaszły w zachowaniu córki – była zamyślona, to znów radośnie podniecona. Razem z żoną doszedł do wniosku, że Anna jest zakochana. Ojciec nie ominął żadnej sposobności podpatrywania córki po opuszczeniu domu. Chodząc za nią, stał się przypadkowo świadkiem spotkania kochanków. Zawrzał gniewem i złością. Wrócił do domu i z oburzeniem powiedział żonie o swoim odkryciu:

- Jak ona mogła ofiarować swoje uczucie wrogowi? Jak śmiała bez naszej zgody wdawać się w rozmowy ze Szwedem?!

Nie mógł się uspokoić, dopóki nie obmyślił planu zemsty. Poszukał w mieście człowieka, o którym wiedział, że dla pieniędzy podejmie się wykonania każdego zadania. Omówił z nim sprawę, opisał Szweda i powiadomił o miejscu, w którym można go spotkać. A potem rzekł:

- Zgładzisz go, rozumiesz. Zgładzisz wroga!

Zbir następnego dnia czatował na swoją ofiarę. Na wyznaczonym miejscu jednak nikt się nie pojawił. Kolejny dzień był terminem wyjazdu zakochanej pary. Morderca zaczął się. Nadszedł ukochany Anny. Zbir podszedł od tyłu i nim Szwed się odwrócił, wbił mu w plecy sztylet. Ciało bezwładnie osunęło się na ziemię tuż przy źródelku, które było świadkiem szczęśliwych spotkań Anny i Szweda.

W tym samym czasie Anna pakowała swoje rzeczy. Później wspięła się na wzniesienie i skierowała ku źródelku. Zachwiała się, gdy spostrzegła leżącego przy nim ukochanego. Zrozpaczona chciała rzucić się do Wisły. Powstrzymała jednak ból, ucałowała martwego kochanka i szepnęła: – Jesteś szczęśliwszyzy od mnie.

Przygotowane do podróży rzeczy wrzuciła do rzeki. Wróciła do domu i oświadczyła rodzicom, że wstępuje do klasztoru. Zrozpaczeni rodzice prosili i błagali ją o zmianę decyzji. Załamana nieszczęściem Anna postanowienia jednak nie zmieniła.

A źródelko wyszogrodzkie jest niemym świadkiem tych wydarzeń do dziś.

Henryk Wilk

Dzwon

Przez wiele lat w wieży koło kościoła fordońskiego znajdował się stary dzwon. Dźwięk jego był tak piękny, że kiedy rozbrzmiewał, przechodnie przystawali z wrażenia, a okoliczni chłopcy zapominali o trudzie swojej pracy. Z dzwonem tym wiąże się dziwna opowieść.

Na początku XVII w. do Fordonu sprowadził się bardzo zdolny ludwisarz. Jego dzwony cieszyły się dużym uznaniem. Osiedlił się nad Wisłą, ponieważ znajdowała się tam dobra glinka używana do odlewania form. Ponadto nie było problemu ze sprowadzaniem surowców do wytopu spiżu. Pracy mu też nie brakowało.

W Fordonie na przełomie XVI i XVII w. wybudowano nową świątynię. Dzwony w niej były małe, a głos ich z trudem obejmował obszar miasta. W 1642 r. ksiądz proboszcz postanowił to zmienić. Ufundował okazały dzwon. Jego wykonanie zlecił ludwisarzowi. Mistrz postanowił, że dla większej chwały swej miejscowości rodzinnej stworzy prawdziwe arcydzieło.

Starannie wykonał formę dzwonu – podwójny płaszcz gliniany z wolną w środku przestrzenią, którą należało wypełnić stopem. Potem zmieszał w kotle miedź i cynk. Wiedział jednak, że w ten sposób uzyska pospolity dźwięk. Aby uzyskać wspaniały ton, dołożył do mieszanki sporo srebra. Kiedy uznał, że stop jest właściwy, zawołał ucznia Tomasza. Wraz z nim wlał wrzącą masę do formy. Oczekali aż stężeje. Ludwisarz odbił glinianą powłokę od spiżu swego dzieła. Wyłuskał dzwon całkowicie i przystąpił do jego oględzin.

Dzwon miał skazę. W jednym miejscu kruszec był lekko pogłębiony i nierówny. Doświadczony mistrz wiedział, że wada może zniekształcić dźwięk. By się upewnić co do swoich podejrzeń, zawiesił dzwon na rusztowaniu i rozkołysał go. Okazało się, że cała jego praca poszła na marne. Rozbił dzwon i zabrał się do roboty od nowa. Dokładnie wylepił drugą formę i stopił kruszec. Nie żałował trudu. Niestety, drugi odlew okazał się też niedoskonały i rozczarował twórcę.

Ludwisarz podjął trzecią próbę. Tym razem od początku pomagał mu Tomasz. Razem zbudowali formę i wylepiли spiż. Gliniany kształt dzwonu był gotowy i czekał na wsad z pieca. Tomasz rozpałił ogień pod wielkim kotłem, w którym znajdowały się kawałki porąbanego kruszcu. Gdy te zaczęły się topić, mistrz musiał udać się gdzieś w ważnej sprawie. Zostawił ucznia samego. Długo nie wracał. Tymczasem nadszedł moment, w którym roztopioną masę należało przelać do formy. Tomasz uznał, że nie można dłużej czekać. Zawołał pomocnika. Dwaj młodzieńcy ostrożnie przelali spiż do glinianego płaszcza.

Uczeń wykonał czynność, którą powierza się tylko doświadczonemu ludwisarzowi. Nic dziwnego, że Tomasz myślał, co powie na to jego mistrz.

Kiedy ludwisarz wrócił do warsztatu i zobaczył co się stało, wpadł w złość. Wyzwał Tomasza od zuchwalców i zarozumialców. Nie mógł pojąć jak ten młody chłopak śmiał wykonać pracę, która przystoi jedynie mistrzowi. Krzyczał, że zepsuł jego dzieło.

Kiedy powłoka ostygła, dzwon wyłuskano. Okazało się, że tym razem wszystko jest w porządku. Dzwon posiadał ten ton, którego mistrz tak bardzo pragnął. Można było na dzwonie napisać: „Chwalcie Pana na cymbałkach pięknie brzmiących”.

Wiadomość o Tomaszowym sukcesie szybko rozeszła się po okolicy. Parafianie teraz zaczęli u niego składać zamówienia. Tomasz – już czeladnik – był coraz sławniejszy. Mistrz zaczął mu zazdrościć popularności. Pewnego dnia w przypiływie szału zabił czeladnika. Upewnił się, że nikt go nie widział. Włożył zwłoki Tomasza do worka i wyniósł je do piwnicy. Tam zakopał ciało w głębokim dole.

Nie miał zbyt długo spokoju. Okazało się, że Tomasz ma tajnego sprzymierzeńca i mściciela. Był nim odlany jego rękoma dzwon. Ludwisarz, który mimo zawiści zawsze chętnie wsłuchiwał się w jego dźwięczne tony, nie mógł teraz słuchać jego bicia. Miał wrażenie, że przemawia on ludzkim głosem i oskarża go o straszną zbrodnię. Przy każdym uderzeniu dzwonu rosły wyrzuty sumienia ludwisarza. W głowie słyszał wciąż słowa: „Co mnie lał, życie dał, w loch skrywany, nie pogrzebany”.

Mistrz nie wytrzymał tego obciążenia. W końcu poszedł do wójta i wyznał mu swoją zbrodnię. Ponieważ przyznał się do morderstwa i wykazał skruchę, darowano mu życie. Skazano go jedynie na karę więzienia. Mieszkańcy Fordonu mogli podziwiać dzieło ludwisarza i Tomasza do czasów ostatniej wojny. W tym czasie dzwon został zarekwirowany dla potrzeb wojska.

Henryk Wilk

Skrzypek

W części Fordonu zwanej Płozami, w pierwszej połowie XVII w. mieszkał chłopiec o imieniu Bartłomiej. Był on bardzo uzdolniony. Sam zrobił sobie skrzypce i sam nauczył się na nich grać.

Z jego usług korzystała cała okolica. Bartłomiej z roku na rok stawał się coraz bardziej znany. Wydobywał ze swojego instrumentu takie dźwięki, jakich nikt inny nie potrafił. Mówiono o nim, że tak pięknie może grać tylko ktoś, kto zaprzedał duszę diabłu. Bartłomiej nie przejmował się tą ludzką paplaniną.

Grał na chrzcinach, zrzekowinach, weselach i zabawach. Nie narzekał na brak pieniędzy. Graniem zarobił tyle, że wraz z rodzicami mógł wieść dostatnie życie. Mimo to Bartłomiej nie był do końca szczęśliwy. Miał jedno jedyne marzenie. Pragnął być nie tylko ludowym grajkiem, ale prawdziwym artystą podziwianym w całym kraju i na świecie. Na razie jednak musiał zadowolić się muzykowaniem w największej karczmie w mieście.

Pewnego razu do tej karczmy zawitał wędrowiec. Mężczyzna odpoczął po podróży. Potem zapytał grzecznie zebranych, czy może im coś zagrać na swoich skrzypcach. Bartłomiej, który decydował o tym, co w karczmie jest grane, nie miał nic przeciwko temu. Myślał sobie: Niech gra. Co mi tam szkodzi? Gdy ja po nim dam koncert, ludzie przekonają się, kto tu jest mistrzem.

Bartłomieja czekała niemiła niespodzianka. Przybysz grał pięknie. Wydobywał ze swojego instrumentu czarujące melodie. Wszyscy słuchali go z zapartym tchem. Co gorsza, zapomnieli o własnym skrzypku i chcieli, by ten nowy grał im przez cały dzień.

Bartłomiej był zrozpaczony. Zdawał sobie sprawę z tego, że wędrowny grajek jest lepszy od niego. Był zazdrosny, ale starał się tego po sobie nie pokazywać. Gdy przybysz skończył grę i opuścił karczmę, Bartłomiej nie wytrzymał. Wziął swoje skrzypce i pobiegł za nim. Dopadł go na drodze prowadzącej do przeprawy na Wiśle. Bartłomiej poprosił grajka, by ten posłuchał jego gry. Został zignorowany. Chłopak nie dawał jednak za wygraną. Zastąpił obcemu drogę i powiedział:

– Nie przepuszczę cię dalej, dopóki nie zgodzisz się ze mną zagrać.

Stało się jak chciał. Grali na zmianę. Najpierw cicho, potem coraz głośniej. W końcu po całej okolicy rozległy się dźwięki mocne, potężne i porywające. Tymczasem we współzawodnictwie muzyków nie było widać końca. Ludzie myśleli, że nigdy nie przestaną, aż obcy grajek znużony już nieco koncertowaniem rzekł do skrzypka fordońskiego:

– Nie walczmy ze sobą Bartłomieju. Oczarowałeś mnie swoją grą. Proponuję ci przyjaźń i wspólną podróż do Warszawy. Tam będziemy grać w kapeli najjaśniejszego króla Władysława.

Bartłomiej nie zastanawiał się w ogóle nad tą propozycją. Udał się ze swoim przyjacielem do stolicy i tam grał. Spełniły się jego najskrytsze marzenia.

Henryk Wilk

Procesy czarownic w Fordonie

Bez litości rozprawiano się z oskarżonymi o czary w Fordonie. Oto dokument z 15 stycznia 1670 roku, w którym na dwu stronach pożółkłego papieru zawiera się opis procesu skazującego kobietę na śmierć. Przed sądem miejskim w Fordonie stanęła „Marianna, dziewczka służebnica” powołana przez starą czarownicę Zofię. Podobno była widziana na Łysej Górze. Poproszono ją więc, by się „dobrowolnie” przyznała do wszystkiego. Oskarżona potrząsa jednak głową i „do żadnych uczynków znać się nie chce”. Instygator, czyli oskarżyciel wnosi więc, by sąd dał ją na pierwsze tortury „mistrzowi świętej sprawiedliwości”. „Pociągnięcie” (tortura polegała na wykręcaniu ramion do tyłu i wyciąganiu ich ze stawów) nie załamuje nieszczęsnej. Sądowi pytającemu „aby się znała do swoich złych uczynków” rzecze, że „żadnych złych uczynków nie zna”. Instygator zaczyna się denerwować. Przypomina zatwardziałej niewieście, że przecież Zofia widziała ją na Łysej Górze i zaraz, aby stosowne wyznanie uzyskać, proponuje drugie tortury. „Ciągniona przez mistrza sprawiedliwości Marianna zaczęła wreszcie mówić: Iżem bywała na Łysej Górze, nosiła mnie Zofia kucharka i dała mi proszku, abym posypała drobiaszek, którym proszek cisnęła na progi”. Sąd był ciekaw, czy na diabelskie igry wybrała się również inna służąca – Frużyna, razem z przesłuchiwaną u Jejmości pracująca. Marianna odpowiedziała: „Frużyna dziewczyna nie bywała ze mną na Łysej Górze, nie było jej tam, nikogo nie widziałam”.

Ale, jak widać, hart ducha dalej nie opuszczał torturowanej. Wymusiwszy więc jako takie zeznanie, drugie tortury zakończono konkluzją:

„Która to Marianna na wtórych torturach nie słowna i nie stateczna w swoich słowach była”. Instygator ponaglał, ażeby dać ją na trzecie tortury. Zaczęto od pytania, by przypomnieć sobie, czy na pewno bywała na Łysej Górze. Marianna odpowiedziała: „Tak, byłam tam z Zofią kucharką ze trzy razy. Stara dała mi tam proszku do posypywania drobiaszku. A teraz skoro już mnie powołała wolę umrzeć. Nic więcej nie powiem”. Ale widać mistrz sprawiedliwości „pociągnął”, skoro zaraz przypomnieć sobie, że bała się tych podróży na Łysą Górę, tylko ją stara Zofia uspokajała: „Głupia, nie bój się, nie będzie ci nic”. Sąd dalej zapragnął wpisać kolejne nazwiska czarownic do swego rejestru, więc podsunął nowe pytanie o to, kogo na czartowskim bankiecie widywały? A więc Marianna zeznała: „Wałkowa i Jademka stara i Ja i Zofia kucharka, a dwóch nie poznałam (...)”. „A jakichże diabłów poznała, by ludziom szkodzić?”. Marianna odpowiedziała, że jej czart miał na imię Matisek, ubrany „w kapeluszu, pod piórem, po niemiecku w hyfajce czarny”. Dostała go od Zofii w chlebie kukielczym, w kuchni. Wyskoczył do niej, gdy była w przechodzić. „On do mnie przyszedł i mówił: «Jużeś ty moja», a jam się nie mogła przeżegnać, oblał mnie przed domem i zaraz tej nocy wziął mnie na Łysą Górę”. Dlaczego więc od razu nie przyznała się do swej winy?

Marianna wyznała, że nie mogła tego uczynić, bo kiedy ją torturowano, to czart siedzący za piecem w browarze, a potem stojący przy kłodzie, zabraniał jej. Jak zabraniał? – naciskał sąd. „Nie kazał mi powiadać i mówił mi: Nie powiadaj. Także na spicherku podłę mnie siedział i kazał mi się pana Boga wyrzekać”.

W ten sposób zebrano dowody winy i wydano wyrok, którego ostatnie zdanie mrozi w kościach szpik:

„A przeto za jej zły występki Decretem nakazuje sąd, aby była ta Marianna Krzcona, dziewczka czarownica przez sługę miejskiego przysiężonego podwoyskiego z przyczyny jej do rąk mistrza świętej sprawiedliwości oddana i w ogień na stos dREW włożona i spalona Decreti presentis vigore”.

Najkrótsza droga sprzed sądu w Fordonie prowadziła, w przypadku oskarżenia o czary, prosto na stos. Pomówioną została Marianna Piętrowa, która podobno zadała służącej ogrodnika jakąś truciznę. Okoliczność tę potwierdzili liczni świadkowie. I tak Kazimierz Lilek, parobek dworski, mówił: „Służąca, która chorujący narzekała do samej śmierci na Mariannę Piętrową, iż dla niej z tego świata schodzi. Nawet potem, gdy prosiła ją do siebie mówiła: «Jużeś ty mnie Piętrowa uczyniła i dla ciebie muszę umierać – żałowała mi ty ziemi, żebym na ni nie chodziła». A ona rzekła: «Nie mów tego, nie jeden kukielcze jadł, i odeszła od niej». Inny świadek, Kazimierz Borowy, zeznawał: „Żem słyszał od tej nieboszczycy, iż ona narzekała na tę Piętrową, iż ja nie dla kogo inszego z tego świata idę, tylko dla Piętrowej (...)”. Wojciech Płuciennik zaś dodał: „Ja idąc do Piętrowej słyszałem taniec. Wszedłszy zaś do środka, nie zastałem nikogo w izbie, tylko ją samą (...). Alem słyszał w tym domu taniec nie jednej osoby, ale jakby kilka osób tańcowało”.

Instygator przysłuchiwał się tym głosom z rosnącym zainteresowaniem i był prawie pewien, że oto ma przed sobą kolejną czarownicę, u której w domu z pewnością harcowały tuziny diabłów dniem i nocą. Wniósł przeto, by bez żadnej zwłoki powołaną kobietę wziąć na tortury. Sąd przystaje na to łaskawie. Strach, podobnie jak w wielu innych przypadkach, „rozwiązał” język kobiety:

„Tej dziewczę uczyniłem, że zesłała z tego świata od tej kukły i od piwa, które jej dałam. Mam swego diabła Jakubka. Zadała mi go Grzelina, zanim ją spalono. Ten diabeł wyskoczył przede mnie i obiecywał, że się będę miała dobrze i dał mi kopę zadatku. Bywałam na Łysej Górze pod Świeciem, w ogrodzeniu jakimś, i stół miałam, i jedzenie, i picie tam było... I granie na redłę i na stąporze. Na redłę grał Maciej Pustuł”. I słowa te notował skryba, po trzy razy twierdziła. „A ten Michał Pustuł mieszka w Żołędowie. A z tym diabłem to miałam całe życie. Obcowałam z nim z 15 razy czasem przy mężu, czasem bez męża. A miał on naturę zimną i figłami ze mną obcował. I wczoraj u mnie był, ale poszedł sobie, iż to kropią wodą święconą. Kazał mi się też wyrzekać Największego i Matki Przenajświętszej i Wszystkich świętych (...)”. A jakie były jej czarowe towarzyszek? Piętrowa wyjaśniła, że zna Maćkową, „która tam bywała, gdzie i ja”. Czy ludziom odważyła się szkodzić? Więc, opowiadała torturowana: „żem sobie czworo bydła udusiła, a to dlatego sobie, by ludzie nie myśleli, żem jest czarownica. A ten proszek, który dziewczę wsypałam w zapusty w piwo, czarny był. Przyniósł mi go Jakubek”. Po jakimś czasie dodała jeszcze, że nie wystarczył jej jeden diabeł. Znała jeszcze drugiego, Rokickiego Jaśka.

Drugie, znacznie surowsze tortury pobudziły jej wyobraźnię i wpłynęły na ubarwienie wyjaśnień. A więc tak uczyniła, że świnie na dworze zdychają. Dlaczego? Jej diabeł zakopał padlinę pod samym progiem chlewa, kędy świnie legają. A na Łysą Górę nie udawała się lada jak. Wylatywała kominem maścią się posmarowawszy. Drogę zaś wskazywał diabeł, sunąc wysoko ponad wierzchołkami drzew.

Trzecie tortury wywołały w nieszczęsnej głęboką depresję, byle dano jej spokój, sypała nazwiskami znanych i nieznanych rzekomych czarownic. „To też jeszcze zeznają, że Anna stara w Bydgoszczy na Chwytowie mieszka, która na Łysej Górze bywała. Także w Niemczu jest jedna Regina Nowacka, która z nami się bawiła, a z Jastrzębia Błaszowa”. Pytana parę razy, czy podtrzymuje to powołanie, niezmiennie powtarzała: „Tak i twierdzę i z tym umierać będę”.

Sąd więc zamknął przewód:

„Nakazuje dekretem swym za jej zbrodnie wielkie, aby zapłatę wzięła i na stos drewna włożona przez exekutora świętej sprawiedliwości była ogniem spalona (...)”.

Jerzy Derenda

Jak mieszczanie więzili własnego wojewodę

W XVIII wieku w Ostromecku, niedaleko Fordonu, znajdował się dwór. Była to jedna z rezydencji wojewody pomorskiego. Pewnego razu wojewoda Mostowski przyjechał tam na wakacje. Towarzyszyła mu liczna służba dworska i grupa rycerzy.

Niestety, rycerze nie mieli w Ostromecku zbyt wiele do roboty. Nudzili się. Wciąż wymyślali sobie jakieś zajęcia. Do gustu przypadły im szczególnie napady rabunkowe na przejeżdżających traktem kupców. Rabusie znaleźli sobie dogodną kryjówkę pod górą w Strzyżawie i tam czekali na handlarzy. W ten sposób swojego towaru pozbyło się wielu ludzi.

Pewnego wieczoru, po zakończeniu służby na dworze, grupa rycerzy znowu zasadziła się w swojej kryjówce. Dookoła panowała zupełna cisza. Mimo to zbójcy w zbroi rozmawiali między sobą jedynie szeptem. W końcu jeden z nich usłyszał, że coś się dzieje na drodze:

- Zdaje się, że ktoś się zbliża – szepnęła do pozostałych.
- Ale to nie jest tylko jedna osoba. Słyszę, że musi być ich kilka.

Rycerze nie mylili się. Traktem podążała grupa kupców fordońskich, którzy sprzedawszy swój towar w Toruniu wracali właśnie do domu. Nie spodziewali się, że coś złego może się im przytrafić tak blisko miasta. Gdy zbójcy ich zaatakowali, wywiązała się walka. Kupcy nie mieli zamiaru pozbyć się zarobku i tego, co im zostało. Było ich mniej niż rycerzy, przegrali bitwę. Jednemu z handlowców udało się jednak uciec z opresji. Dotarł do Wisły, przeprawił się przez rzekę i znalazł się w Fordonie. Kupiec bił w dzwony i zawiadomił całe miasteczko o tym, co wydarzyło się koło Strzyżawy.

Gromada zbrojnych mieszczan ruszyła kupcom z odsieczą. Losy bitwy się odmieniły. Rycerze musieli się wycofać. Ku zdumieniu mieszkańców Fordonu, rabusie uciekli na dwór wojewody pomorskiego. Mieszczanie bez wahania podążyli ich śladem. Wzięli rycerzy do niewoli.

Na dworze w Ostromecku jeden z kupców natknął się na wojewodę Mostowskiego. Pomylił go z którymś z rycerzy i wskazał go mieszczanom. Ci od razu rzucili się ze sztyltem na wojewodę. W ostatniej chwili powstrzymała ich służba. Mimo to wojewodę, tak jak innych, wzięto do niewoli.

Następnego dnia zebrała się rada miejska Fordonu. Rajcy mieli zbadać sprawę i przesłuchać zbójów. Okazało się, że w niewoli znalazł się również zarządzający ziemią, do której należało to miasteczko – wojewoda Mostowski. Zrobiło się zamieszanie. Postanowiono natychmiast wypuścić więźnia i wysłać do niego delegację z przeprosinami i zrobić wszystko co się da, by wojewoda nie miał do miasta żalu.

Mostowski, gdy doszedł do siebie, podał radnym warunki ugody:

- Mój dług wobec miasta w wysokości stu dukatów – przepada. – Fordoniacy zbiorą trzysta dukatów i w ten sposób zrekompensują wyrządzoną mi krzywdę. Bramę, przez którą wprowadzono mnie w hańbie do miasta, Rada Miasta ma zburzyć.

Mieszkańcy Fordonu nie mieli wyjścia. Musieli spełnić wszystkie żądania wojewody. Co więcej, aby całkowicie go udobruchać i zatrzeć w pamięci wszystkich tamto wydarzenie, zorganizowano jeszcze jeden uroczysty wjazd wojewody do miasta. Odbyło się to tak: wojewoda z małżonką i całą dworską świtą podjechał do zburzonej bramy, a tam rajcy miejscy czekali na nich na klęczkach. Potem doszło do publicznych przeprosin. Wojewodzinie ofiarowano kosztowną biżuterię, a pozostałych ugoszczono. Po tym dopiero nastąpiła zgoda między wojewodą a miasteczkiem.

Od tamtego czasu w Fordonie mówi się, że mieszkającym tu ludziom zdarza się popełniać głupstwa, ale muszą oni za nie słono zapłacić.

Henryk Wilk

Pomnik na Rydzkowie

Działo się to, kiedy Fordon należał do jednego z powiatów departamentu bydgoskiego, a zwycięstwo Napoleona nad Prusami w 1806 roku obudziły nadzieje mieszkańców na wyzwolenie Polski z pruskiej niewoli. W fordońskim ratuszu burmistrz Jakub Krüger zebrał magistrat, rajców miasta i znamienitych gości z okolicy. Obwieścił im rzecz wielce ważną dla miasta:

– Mieszkańcy naszego miasteczka i okolic wielokrotnie dawali wyraz umiłowania ojczyzny. Chociażby wtedy, gdy przeprawiali wojska powstańcze generała Dąbrowskiego idące na Toruń i wtedy, gdy stacjonowała opodal francuska kawaleria. Nieraz mieszczenie nasi zaciągali się do wojska powstańczego. I dzisiaj ojczyzna jest w potrzebie. Nadszedł czas wojny z Rosją. Za dwa tygodnie obok Fordonu ma przeprawiać się przez Wisłę część największej armii świata. Wśród jej członków nie zabraknie polskich orłów. To marszałek Francji Ney ze swoją armią przejdzie przez Strzelce, Łoskoń, Pałcz na Rafę, Pień i Ostromecko – tu burmistrz zamyślił się, jakby oczyma duszy widział już ogromne zastępy wojska.

– To co wtedy do nas będzie należało? – wykorzystał przerwę Antoni Wilkgus, ławnik z rady.

Burmistrz kontynuował:

– Wojska trzeba będzie wspomagać żywnością i furazem. Sternicy, pracownicy komory celnej i rybacy wyznaczą, oznakują i wytyczą przeprawy oraz szlaki przez rzekę. Powołamy załogi barek, promów i tratw do przeprawy taborów. Pomieszczenia dyrekcji ceł i akcyzy zamienione zostaną na kwatery wojskowe i lazarety.

Tak też się stało.

W środku lata 1812 r. miasto było przygotowane do przeprawy wojsk. W tym czasie do Fordonu podchodziły przednie oddziały armii francuskiej, a byli wśród nich huzarzy i kirasjerzy, oddziały kanonierów z armatami i szwoleżerowie. Oddzielnym gościńcem ku miejscu postoju przybywały oddziały ułanów.

Wszyscy zmierzali ku postojowi, a potem do przeprawy przez rzekę. Czekala ich długa droga do Rosji. Na trakty ruszyli mieszczenie z Fordonu i okolicznych wsi. Szczególnie gorąco witano żołnierzy polskich. Już drugi dzień miał się ku końcowi, gdy ostatnie oddziały i tabor przeprawiały się przez rzekę.

Na tarasie nad doliną Wisły, na wzniesieniu stanowiącym dobry punkt obserwacyjny, stała grupa oficerów bacznie spoglądających na organizację przeprawy. Byli to ważni dostojnicy. Przyprawiono do nich pięciu cywilów.

Dowódca przeprawy gen. Colbert – zaanonsował przybylszych stojącemu obok oficerowi:

– Najjaśniejszy Cesarzu! Przybyła delegacja miasteczka z panem burmistrzem.

Napoleon wymownym gestem pozdrowił przybyłych i powiedział:

– Dziękuję wam za udzieloną pomoc i okazane serce.

– To był nasz obowiązek wdzięczności, Najjaśniejszy Panie – odparł burmistrz.

W niedługim czasie, dla upamiętnienia tego wydarzenia, w miejscu rozchodzenia się dróg, jednej do Jaruzyna, a drugiej do Strzelec Dolnych, na gościńcu zwanym w dawnych czasach Rydzkowem – stanął pomnik. Monument wyrażał szacunek i wdzięczność dla armii francuskiej oraz legionów polskich w niej walczących i dla samego Napoleona. W miejscu, z którego cesarz obserwował przeprawę swoich wojsk, powstał kopiec z rozłożystym dębem pośrodku.

Historia przywróciła panowanie Prus nad Fordonem. Pomnik upamiętniający tamte wydarzenia przetrwał do 1871 r. W tym czasie Prusy odniosły zwycięstwo nad Francją. Wtedy właśnie dwóch miejscowych Niemców, przesiąkniętych nacjonalizmem, pod osłoną nocy doszczętnie go zniszczyło. Pomnika już nie ma, ale szacunek dla dawnych wydarzeń ocalała od zapomnienia przekazywana przez pokolenia legenda.

Henryk Wilk

O kłótni między młynarzami

Na północ od Fordonu, wzdłuż zakola Wisły, rozpościera się wysoki taras poprzecinany urokliwymi wązami, którymi ongiś płynęły rzeczki do Wisły, a wśród nich Lestnica. Nad jej górnym zakrętem stały domy Strzelec Górnych, a nad dolnym – zagrody Strzelec Dolnych. W krajobraz wpisały się też dwa młyny – górny i dolny.

Młynarz z dolnego młyna Dobromir był człowiekiem spokojnym i uczciwym, według dawnego zwyczaju wyznaczał macę, to jest miarę za przemiał zboża i nikogo nigdy nie oszukał. Dlatego ludzie mieli do niego zaufanie i chętnie powierzali swoje zboże, aby przemielił je na mąkę. Młynarz z górnego Młyna – Niemir był człowiekiem chciwym i kłótlwym, który bogacił się kosztem zwykłych ludzi. Za swoją pracę brał więcej mąki niż powinien. Kiedy chłopci to spostrzegli, zaczęli go unikać i gremialnie udawali się do drugiego młynarza. Niemir starał się ich przyciągać do siebie, wychodził na drogę i uśmiechając się zapraszał:

– Zajedźcie do mnie, młyn mam akurat wolny, więc ziarno zmiele na mąkę albo śrut, i co tylko wam potrzeba... Zatrzymywani chłopci drapali się po głowie, słuchali nieufnie tego, co mówił, i milcząc podcinał konia, byle prędzej dojechać do młyna dolnego. Nic dziwnego, że młyn Dobromira pracował bez przerwy i, zwłaszcza po żniwach, nie mógł sprostać wszystkim potrzebom. Zewsząd podążały do niego wozy z worami zboża. Za to koła napędowe górnego młyna obracały się najwyżej godzinę lub dwie, a potem stawały, bo nie było co sypać na żarna. W sercu Niemira rodziła się coraz większa zazdrość.

Aż pewnego dnia nie wytrzymał, przybiegł do Dobromira i widząc, że jego młyn mieł bez przerwy, a robotnicy są zapracowani i radośni, wybuchnął wielkim gniewem. Nie panując nad sobą wołał:

– To ty jesteś sprawcą mego nieszczęścia, to przez ciebie stoi mój młyn i nie mogę nic zarobić. Ale nie puszcze ci tego płazem. Stań mój młyn, to i twój stanie, jakem Niemir.

Dobromir nie odpowiedział ani słowem, uśmiechnął się tylko i odszedł do swojej pracy. To jeszcze bardziej rozjętrzyło Niemira. Wypadł z młyna jak opętany i cały czas krzyczał:

– Ja mu pokażę. On mnie jeszcze zapamięta!

Od tej chwili dniem i nocą myślał, jakby zniszczyć swego konkurenta. Sobie tylko znanymi drogami nawiązał łączność z diabłem. Chory z nienawiści zgodził się zapisać mu swoją duszę, byle tylko osiągnąć nikczemny cel. Przedstawiony cyrograf podpisał krwią wytoczoną z palca. Umówili się, że diabeł sprowadzi ogromny kamień i wrzuci go do Lestnicy tuż przed dolnym młynem, aby zahamować dopływ wody i zatrzymać koło w młynie Dobromira.

Diabeł uradowany, z udanego poławu duszy, rażno zabrał się do pracy. Zaczął od poszukania jak największego kamienia. Rozglądał się tu i tam, aż wreszcie wypatrzył wielki głaz. Zabrał długi, mocny łańcuch i poleciał na miejsce, skąd miał się odbyć transport. Pod osłoną nocy obwiązał kamień wokół i dźwignął go w górę. A choć był silny, niemało trudu go kosztowało, aby lecieć z nim w powietrzu. W całej okolicy słychać było szum powietrza, a potem hałas, jak od przeciągającego się grzmotu. Ludzie, którzy to widzieli i słyszeli, zegnali się ze strachu. Diabeł z każdą chwilą zbliżał się do celu. Kiedy nadleciał w okolice dolnego młyna zaczęło świtać i zapiał kur. To oznaczało natychmiastowy powrót do piekieł. Diabeł upuścił kamień, który z hukiem wbił się w ziemię, nie czyniąc nikomu szkody.

Leży tam nad rzeczką po dziś dzień stanowiąc rzadką osobliwość. Czas jaki upłynął od tego wydarzenia zatarł już ślady łańcucha, którym był opasany. Po tym nieudanym locie diabeł więcej nie pokazał się w okolicy, bo bał się ośmieszenia. Dolny młyn Dobromira mógł już spokojnie mleć zboże przywożone przez chłopów, a Niemir zły na siebie i diabła, zrezygnował z młynarstwa i wyprowadził się z tych stron. Choć do naszych czasów nie dotrwały młyny, a z rzeczki pozostał jedynie strumyk, to w pamięci mieszkańców Strzelca wciąż żywa jest legenda.

Henryk Wilk

A krew wciąż się pokazywała

Tę legendę zrodziły tragiczne wydarzenia męczeńskiej śmierci mieszkańców Fordonu na początku II wojny światowej. 2 października 1939 roku w miasteczku przeprowadzono akcję pacyfikacyjną i aresztowano kilka znanych fordońskich osobistości.

Wyznaczono je na ofiary pokazowego mordu. Z mieszkań okalających rynek wypędzono lokatorów. Zmuszono ich, by wzięli udział w tym strasznym widowisku.

Na rynku przed wejściem do kościoła św. Mikołaja Niemcy rozstrzelali kilka osób. Jedna z nich przed śmiercią krzyknęła „Niech żyje Chrystus. Niech żyje Polska”.

Rozalia Falkowska, żona miejscowego organisty twierdzi, że okrzyk ten słyszeli wszyscy spędzeni na rynek Polacy. Nikt nie miał wątpliwości, że był on skierowany do świadków tragedii. Niósł przesłanie otuchy i wiary. Słowa zapadły uczestnikom tych wydarzeń głęboko w sercach.

W miejscu, w którym upadło ciało śmiałka pozostały trwałe ślady krwi. Trudno je było usunąć. Przez jakiś czas płyty i bruk polewano wodą, posypywano piaskiem, a nawet wapnem. Nic nie poskutkowało. Po każdym deszczu plamy przybierały intensywną barwę brunatną.

Nic dziwnego zatem, że dla mieszkańców Fordonu miejsce to stało się święte. Było symbolem polskiej nieśmiertelności, nadzieją na przetrwanie hitlerowskiej zagłady. Niemcy natomiast podjęli się obserwacji miejsca.

Weronika Nowicka opowiadała, że zainteresowanie znakami śladów zbrodni przed kościołem denerwowało Niemców. Gdy nie mogli zetrzeć plam, postanowili wymienić płyty i część kamieni z bruku. Przejście zagrodzono. Kościół zamknięto. Nie zatarto natomiast śladów po pociskach na murze. Pozostały tam do dzisiaj.

Jak się z czasem okazało, okrzyk przed egzekucją wzniósł zamiejscowy ksiądz. Był to ks. Henryk Szuman, dziekan ze Starogardu. Został wydany ze swojej parafii przez Niemców. Do Fordonu przyjechał 7 września. Przyjaźnił się bowiem z tamtejszym księdzem Szydkiem. Ks. Szumana aresztowano pierwszego. Przerwano mu modlitwę w kościele.

Wraz z nim rozstrzelano: Wacława Wawrzyniaka – burmistrza Fordonu, ks. Huberta Raszkowskiego – wikariusza fordońskiego, Benona Kaszewskiego – drogerzystę, Albina Piotrowskiego – gimnazjalistę, Waldemara Podgórskiego – mistrza rzeźnickiego, Stefana Zalesiaka – maszynistę oraz Polikarpa Ziółkowskiego – właściciela przetwórni.

Henryk Wilk



Mocą piekielną przeniesiony

Idąc dwupasmową drogą z centrum Bydgoszczy do Fordonu, za przejazdem kolejowym skręca się w krótką, cichą uliczkę. W czasie okupacji niemieckiej dochodziło się nią do przetwórni owocowo-warzywnej. Obok, w piętrowej willi z ogrodem, który przesłaniał zakład, mieszkał jego właściciel A.C. Frank. Mówiono, że pochodził z okolic Więcborka, gdzie miał olbrzymi majątek ziemski. Z lękiem szeptano, że jest masonem. Wysoki, szczupły, lekko zgarbiony, często chodził po zakładzie z założonymi do tyłu rękami, obserwując pracę robotników. Bano się go. Wierzano, że przynależność pryncypała do loży masońskiej jest przyczyną wielu tajemniczych zdarzeń na terenie przetwórni.

Było lato 1940 roku. Pracownicy trzeciej zmiany przygotowywali ukradkiem truskawkowy dżem do wyniesienia z przetwórni. Za oknem panowały nieprzeniknione ciemności, obejmujące poczuciem bezpieczeństwa tę zabronioną czynność. Nagle jedna z pracownic dostrzegła stojącego w oknie Franka. Butelka wypadła jej z rąk. Wszyscy spojrzeli w okno. Tak, stał tam w bezruchu i patrzył. Widzieli go dokładnie. Nagle na halę wjechał z impetem wózek załadowany kolejną porcją cukru.

– Co tak stoicie, jakbyście ducha zobaczyli? – zawołał pracownik pchający wózek. Ktoś wskazał mu okno. Spojrzał, ale niczego nie zobaczył. W końcu jedna z kobiet wykrztusiła:

– Tam stał Frank!

– Co pani plecie, przecież jadę z magazynu, pod halą nikogo nie było.

Nazajutrz jedna z pracownic spytała gospodynię Niemca, czy pryncypał był w nocy poza domem. Usłyszała, że wcześniej się położył, bo się źle czuł i spał do rana.

Od tego czasu z rzadka podbierano produkty do wyniesienia. Jednak w mrocznych czasach okupacji, gdy racjonowano żywność na kartki, pokusa była silniejsza niż strach. Którejś nocy, wystawiwszy dwóch pracowników na czatach, znów przesypywano cukier do lnianych woreczków, by go zabrać do domu. Udało się, nikt ich nie spłoszył. Gdy po skończonej zmianie szli w stronę portierni, obok strażnika zobaczyli charakterystyczną postać Franka. Ubrany w czarny garnitur i białą koszulę, bezbłędnie wskazywał palcem tych, którzy pod ubraniem przenosili nocną zdobycz. Oniemieli robotnicy oddali to, co zabrali. Frank wydawał się zadowolony, jakby chciał powiedzieć, że jego nie można oszukać.

Oprócz przetwórni w Bydgoszczy, Frank posiadał jeszcze zakład w Grazu. Kilka razy w roku wyjeżdżał, by kontrolować produkcję i w tamtejszej klinice ratować swoje nerki. Z niecierpliwością czekano na jego wyjazd.

Pod koniec sierpnia Frank wreszcie wsiadł do pociągu. W zakładzie przetwarzano wtedy gruszki, jabłka i śliwki. Najłatwiej wynosiło się śliwki. Jeden z pracowników, pewny bezkarności w czasie nieobecności pryncypała, ruszył do wyjścia z pełnym woreczkiem. Nagle wrzasnął i zamarł w bezruchu. W drzwiach zobaczył Franka. Robotnicy spojrzeli w stronę wyjścia. Twarz Niemca nie wyrażała gniewu. Po prostu stał i patrzył. Nie powiedział ani słowa. Tylko za ich plecami rozległ się huk spadających skrzyń. Odwrócili się, ale skrzynie stały nieruchomo, w równych rzędach. Gdy ponownie spojrzeli ku wyjściu, Franka już nie było. Uciekali w popłochu, porzucając zabrane owoce.

– Był jednocześnie w Grazu i tutaj! – komentowano. – Potwierdził tym swój kontakt z duchami, z piekłem. Został przeniesiony mocą piekielną. Sam szatan przybrał jego postać.

Po powrocie z Grazu Frank nie zajął jak zwykle do zakładu. Źle się czuł. Po kilku tygodniach spędzonych w łóżku ponownie wyjechał do kliniki.

Któregoś dnia, wczesnym rankiem, przed portiernią zebrał się tłum robotników z pierwszej zmiany. Nocna zmiana nie opuściła jeszcze zakładu. Liczną grupą weszli do hali. Pracownicy trzeciej zmiany, zachowując milczenie, wsłuchiwali się w tykanie niewidzialnego zegara. Słychać je było wyraźnie w całym pomieszczeniu. Od razu wiedzieli, kto jest sprawcą tego odgłosu. Nikt jednak nie odważył się wypowiedzieć tego głośno, dlatego w tak dziwny i tajemniczy sposób daje o sobie znać.

Wkrótce nadszedł telegram. A. C. Frank zmarł tej nocy w klinice w Grazu. Pokazał jednak robotnikom z przetwórni, że nawet po śmierci ma moc zapożyczoną z piekiel.

Kilka dni po pogrzebie jego gospodyni w popłochu opuściła willę. Jej relacji o nadprzyrodzonych zjawiskach w sypialni Franka słuchano z przerażeniem. Kobieta twierdziła, że o północy słyszała odgłos kroków, hałas przestawianych mebli i jęki.

– Teraz dusza męczy się za konszachty z diabłem – komentowała.

